Cena 7 zł

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II. Katowice — Wrocław, 5. maja 1946 r. Nr. 12 (23)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

02015

Stanisław Rospond

PIAST-KOŁODZIEJ I WOJOWNICZY SIEGFRIED

I.

Od chwili, gdy barbarzyńskie ludy północy, błękitnookie, blond-ryże, wyniosłe nordyki, opuściwszy zlodowaciałego psa skandynawskiego, parły spragnione „słońca południa" (słońca sensu stricto i przenośnie) ku Morzu Śródziemnemu, wokół którego — zdaniem Herodota — rozsiadły się cywilizowane ludy jak żaby wokół stawu, od tej chwili losy dwu indoeuropejskich plemion Słowian i Germanów sprzęgły się nierozerwalnie. Za ciasno i za zimno było Germanom na psie skandynawskim, na półwyspie jutlandzkim z sąsiednim pasem niżu niemieckiego. Stąd **niespokojne** plemiona germańskie rozlewały się po całej Europie, na południe, na zachód i na wschód, zagrażając imperium rzymskiemu. Na początku naszej ery wszędzie pełno było i Normanów i Wandalów i Ostrogotów, Wizygotów itp.

Skoro rolnicy Prasłowianie upodobali sobie równinę między Odrą a Wisłą, to z punktu widzenia geopolitycznego trudno uznać ten wybór za trafny. Nie winmy ich za to. Nie znano wtedy geopolityki! Lepiej było sto razy siedzieć — jak u Pana Boga za piecem — w bucie apenińskim lub nawet na zlodowaciałym psie skandynawskim, aniżeli zajmować równinny szlak Odra — Wisła — Dniepr, przez który przelewały się najróżnorodniejsze fale etniczne z zachodu na wschód i odwrotnie, z północy na południe. Te fale zalewały Słowian, a niektórych zmuszały do szukania nowych siedzib na południu, wschodzie i zachodzie. Ci, co poszli na zachód, najgorzej na tym wyszli. I tak plemiona wschodnio-germańskie Gotów i Wandalów nakryły pierwotnych Słowian cienką warstwą panów-najeźdźców. Za tym pierwszym germańskim „Drang nach Osten" pójdą dalsze. Niedługo potem rewanżują się Słowianie zachodnim Germanom przez swój pierwszy „ciąg" na zachód po Salę i Łabę, a nawet sporadycznie i dalej. I znów za kilkaset lat nowy, już niemiecki „Drang nach Osten" z wynikiem: zgermanizowanie Słowian połabskich, pomorskich, łużyckich i częściowo śląskich. I znów dzisiaj mamy słowiański „ciąg" na zachód, nad słowiańską Odrę i Nysę.

Nie trudno — podsumowawszy przeszło tysiącletni bilans germańskiego „Drang nach Osten" i słowiańskiego „ciągu" na zachód, czyli polityki Karola Wielkiego, Fryderyka Pruskiego, Bismarcka, Hitlera z jednej — i Chrobrego z drugiej strony — postawić Słowianom notę: niedostatecznie. Dlaczego? Dlaczego — pytamy — tamci byli podmiotem, ci zaś, choć silni biologicznie, bo młodzi, byli przez 2000 lat częściej przedmiotem, niż podmiotem historii. Częściej bici, niż bili; częściej podbijani, niż podbijali. Dlaczego Sclaveni byli niewolnikami Hunnów, Turko-Tatarów, Germanów, a nie odwrotnie? Dlaczego więcej niewoli, niż wolności mieli? Słowem, dlaczego Słowiańszczyzna nie wydała Czyngis-chana, Attyli, Osmana, Hitlera? Odpowiedź na to dręczące „dlaczego" nie jest obojętna ze względu na kształtowanie się **naszej nowej świadomości idei słowiańskiej.**

Historię ludów wykreśla kraj i ludzie, ziemia i charakter jej mieszkańców. My mamy tutaj zająć się tym drugim momentem, który zaciążył nad historią Słowian i Niemców, tj. nad ludźmi, ich charakterem i ich kulturą.

II.

Błyskotliwy umysł Francuza ma powiedzonko: „les extremes se touchent", ale to nie znajduje potwierdzenia przy stosunkach słowiańsko-niemieckich. Może kochliwy Francuz miał tylko na myśli płeć piękną i brzydką! Wtedy zgoda! Ale w życiu narodów inaczej, inaczej... Dwa odrębne światy, dwie odrębne dusze, dwie odrębne kultury ścierają się na przestrzeni dziesiątek wieków. Aby nas nie posądzono o niebezpieczne, płytkie uproszczenia i uogólnienia, tendencyjne przeciwstawienia psychologiczno-kulturalne Słowian i Niemców, zbadajmy ten problem **sine ira et studio.**

Pewno, że przy dzisiejszym stanie badań słowianoznawczych z przewagą kierunku językoznawczego, a z zaniedbaniem badań nad wspólną kulturą, literaturą, historią Słowian, pytając: — czy istnieje osobna kultura Słowian? czy istnieje łączność literatur słowiańskich? czy można mówić o ogólnosłowiańskiej historii politycznej Słowian — głosy „contra" przytłumiają nieliczne głosy „pro". Ale zważmy, że kto wie, czy usiłowania slawistyki czeskiej prowadzone w tym kierunku na szerszą skalę, we wszystkich ośrodkach słowianoznawczych nie zyskałyby większej siły dowodowej na: Polak to nie Niemiec i vice versa, Rosjanin to nie Szwed. Przecież nie tylko jest narodowa literatura, sztuka, ale i filozofia, nawet nauka (Gawroński). Lotny umysł Francuza ciężki, zawiły, ale gruntowny Niemca, pomysłowy Słowianina — będą tworzyły dzieła naukowe o jednym temacie, ale różnie ujęte. A skoro tak, to czy nie rzeczą slawistyki jest, (tylko tej, **która oprze swoją** syntezę na uprzednich, żmudnych badaniach) pokusić się o wyśledzenie stycznych rysów słowiańskich w dziedzinie literatury (por. Wollmann), historii (Bidlo) i filozofii (Tvrdy). Byłby to głęboki, świadomy, atawistyczny nurt słowiański, zależnie od czasu i terytorium więcej lub mniej uchwytny w historii i kulturze Słowian. Wprawdzie dzisiaj nie możemy mówić o „charakterze słowiańskim", gdyż Słowianin w czasie i przestrzeni przemienił się w Polaka, Czecha, Rosjanina itd.; niemniej jednak są pewne niewątpliwie wspólne rysy słowiańskie, składające się na pewien **typ słowiański,** biegunowo odmienny od typu niemieckiego.

W tych naszych rozważaniach wyjdziemy od danych historycznych. Zdania o charakterze dawnych Słowian były sprzeczne. Rozumie się, że nauka niemiecka wyławiała z różnych kronik drobiazgi, które odsadzały naszych przodków od czci i wiary. A. Schloeser, niemiecki historyk i jego następcy chcieli w ten sposób wywyższyć rasę germańską, Herder natomiast wyidealizował Słowian jako lud łagodny, wesoły, pokojowy, lubujący się w gęślach, mniej w żołnierce. Słowem lud słodki, prosty, łagodny jak gołąbek. Slawistyka karmiła się tą „gołębią" teorią (Szafarzyk, Kollar); poezja europejska sławiła cierpiętliwe, pokojowe, potulne plemię słowiańskie, marzycielskie plemię gęślarzy Wenedów. Z tym sentymentalizmem zerwał uczony rosyjski Sobestjanskiej w 1892 r., przyznając Słowianom wojowniczość i okrucieństwo w walce, nie mniejsze od ich sąsiadów. J. Peisker w swoim negatywnym, pesymistycznym osądzie dawnych Słowian poszedł dalej, niż Schloeser. Czemu chętnie przyklasnęła nauka niemiecka! Uznał Słowian za lud służalczy, bo od zarania dziejów ujarzmiony przez Turko-Tatarów i Germanów. Rozprawił się z tymi jego „neue Grundlagen" prehistorii Słowian czeski badacz Prasłowiańszczyzny L. Niederle.

Gdzie leży prawda? Jak zwykle tak i tu pośrodku! Herder przeholował. Peisker zdegradował Słowian do rzędu pariasów. W takich wypadkach najlepiej samemu wertować kroniki, wyłowić z nich dane historyczne, przesiać przez sito krytyki i w ten sposób zebrany materiał porównać z późniejszymi faktami historyczno-kulturalnymi. Krytyka źródeł jest konieczna, bo co innego, gdy Niemiec walczący ze Słowianami pisze: „crudeles, crudelissimi, ferocissimi, infidi, ad malum proni, perversa gens, deterrimum genus"; a co innego, gdy Bizantyńczycy Mauryciusz i Prokopiusz oraz Ibrahim ben Jakub piszą: „po ludzku obchodzą się z jeńcami, niewolnikami, których nawet po pewnym czasie obdarzają wolnością; są sprawiedliwi, opiekują się starcami, biednymi i chorymi, gościnni, pracowici, odważni".

„Omnem miseriam carae libertatis postponentes" — do tego stopnia ukochali wolność osobistą i narodową! Nie są pod panowaniem jednego władcy, lecz od dawna żyją **demokratycznie.**

III.

Z tych i tym podobnych okruchów kronikarskich nie trudno oddzielić ziarno od plew. Ziarnem będzie to, co rzucone w glebę słowiańską wyda w późniejszym ich rozwoju owoce, czyli co będzie potwierdzone w historii i kulturze poszczególnych Słowian. Prawie wszyscy kronikarze podkreślają przywiązanie do kraju, do wolności, do demokratycznego ustroju społecznego. Nie mają jednego władcy, dzielą

Perspektywa Odry

Między pierwszym a trzecim Majem, które święciliśmy w tych dniach, istnieje u nas organiczna łączność. Próby oddzielenia obu świąt, jakie były czynione przed wojną, lub ich specyfikowanie, co usiłowano jeszcze czynić w roku ubiegłym, są szkodliwe i nikomu już niepotrzebne. Pierwszy Maj, czerwony i buntowniczy, zamienił się w święto zwycięskie, w święto zwycięstwa tej demokracji polskiej, w której miejsce robotnika jest szczytowe. Związek między pierwszym a trzecim Majem uwidoczni się tym jaśniej, jeśli stwierdzimy, że dzisiejsze święto pierwszego Maja jest zwycięstwem w długiej walce, wypowiedzianej trzeciego Maja 1791 roku. Tamten pierwszy szturm, przypuszczony do twierdzy porządku społecznego w Polsce, rozszczepiający się później i słabnący w utarczkach drobnych, prowadzonych na różnych płaszczyznach, zakończył się dziś dopiero.

Obóz demokracji katolickiej, akceptujący najdrażliwszą i najbardziej radykalną politykę reform społecznych, o ile nie godzą one w przyrodzony związek człowieka z Bogiem, pragnie widzieć jeszcze w obu świętach majowych święta prawości i pogody, zgody i radości. Nawet najwięksi ateiści nie powinni zapominać o tym, że z za trzeciego Maja wychyla się ku nam oblicze czczonej w tym dniu Boskiej Dziewicy. Oblicze, które zatraciło już u nas swe rysy historyczne, bo dzieląc losy Polski i Polaków, przyjęło ich wyraz bólu i radości. W ten sposób pierwszy Maja, który tak długie lata był świętem nienawiści klasowej, znajduje powiązanie z boskością, a krew robotnicza, o której śpiewano, że przetrwa jako symbol wieki całe, teraz dopiero, po przyjęciu irracjonalnego, utrwali swą sławę i chwałę.

Na Ziemiach Zachodnich i Odzyskanych różne się spotykały pierwsze Maje. W Katowicach, Wrocławiu, Szczecinie, Poznaniu, Gdańsku i Olsztynie czciły Niemcy swój pierwszy Maj, który był zaprzeczeniem równości społecznej, równości wszelakiej, zaprzeczeniem praw robotniczych. Było to kiedyś dla nas Polaków święto solidarności proletariatu świata. Dziś kochamy cały naród a proletariat polski, będący jego polityczną awangardą, przejmuje na swe barki sens i los historii wszystkich warstw społecznych.

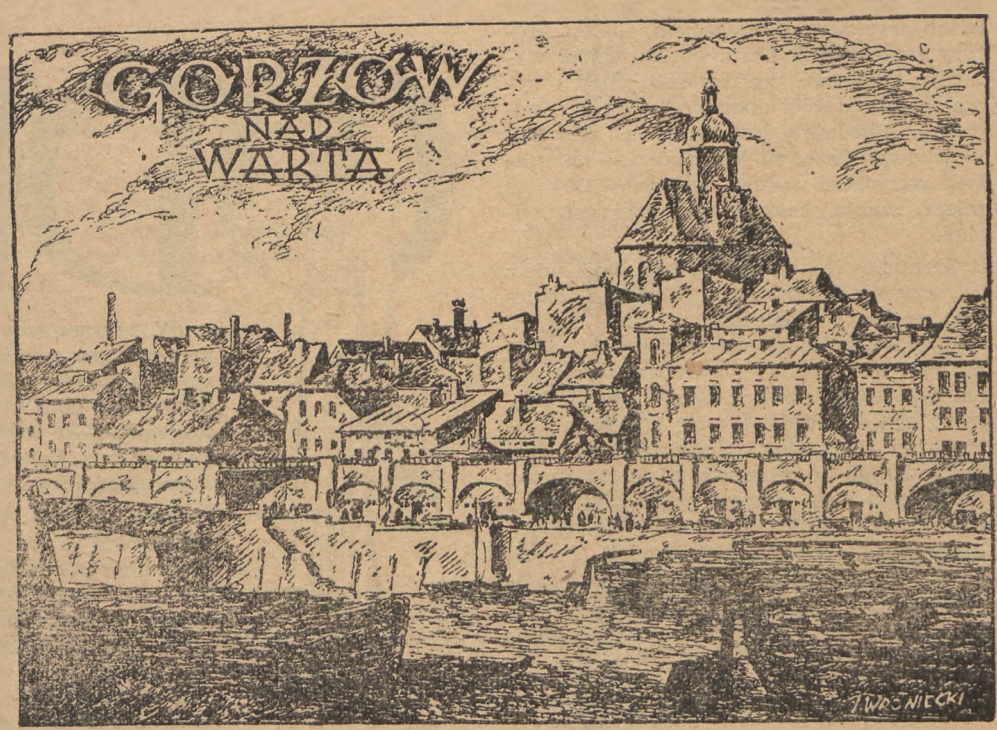

Gorzów — stolica Ziemi Lubuskiej. — Wykonał J. Wroniecki (reprodukujemy za „Polską Zachodnią").

DM 54/052

się na liczne rody, szczepy, plemiona. Każde plemię ma swojego przełożonego (żupana), ale jego władza jest iluzoryczna. Ten demokratyzm, indywidualizm plemienny będzie przekleństwem a rzadziej błogosławieństwem dla Słowian. On bowiem stanął na przeszkodzie w wytworzeniu się większych, zwartych całości państwowych, które by mogły przeciwstawić się silnym zespołom państwowym sąsiadów. Słowianie nie tęsknili za wodzem, panem życia i śmierci w czasie wojny. Widać to i z tego, że brak jest językom słowiańskim terminów rodzimych na określenie władcy. Wyrazy **książę, król, cesarz** są pochodzenia obcego, germańskiego. Jakby wyglądała historia nie tylko Słowiańszczyzny, ale i całej Europy, gdyby Słowianie umieli poskramiać swoje zapędy indywidualistyczne! Inną koleją potoczyłyby się dzieje zachodnich Słowian, niezgodnych Lutyków, Obotrytów, gdyby Słowianie umieli rzały plan Bolesława Chrobrego. Inną koleją potoczyłyby się dzieje południowych Słowian, gdyby butne ich rody zorganizowały się na czas w obliczu niebezpieczeństwa tureckiego. Znany nam aż nadto dobrze Polakom ten indywidualizm słowiańskiej rasy, który przez swoje „liberum veto" i szlachecką „złotą wolność" doprowadził do upadku Polski! Na nic były głosy Ostroroga, Modrzewskiego, Skargi i innych.

Tymczasem nasi zachodni sąsiedzi górowali nad nami pod tym względem. „Germania" Tacyta jest doskonałym informatorem o ich zmyśle kolektywistycznym, organizacyjnym, o bezwzględnym podporządkowaniu się władcy. To było w sam raz dla narodu o aspiracjach imperialistycznych i militarystycznych. Wybitniejsi wodzowie — jak świadomy Tacyt — uważani byli przez ogół podobnie jak starogreccy herosowie za potomków bogów. Na czas wojny wybierany wódz (Herzog) miał nieograniczoną władzę; był panem życia i śmierci.

Germanizm to arystokratyzm, szukanie par force wodzów, bożków, bez których naród niemiecki nie umie żyć. Arystokratytczna teza Nietzschego o nadczłowieku, który ujarzmia masy i w ten sposób tworzy dzieje, jest biegunowo różna od demokratycznej, słowiańskiej tezy Tołstoja, według którego masy są twórcami historii narodów. Tu niejeden przykład ciśnie się pod pióro. **Słowianie dobrym czy złym wodzom rzucali kłody pod nogi.** Kto podnosił głowę, zaraz mu ją w imię równości obcinano. Tymczasem za naszą zachodnią granicą co innego widzieliśmy. Za czasów Tacyta musieli być Herzogowie równi bogom, herosom greckim, za czasów III Rzeszy musiał być brunatny wódz, który na cały naród nałożył brunatną koszulę, **nota bene** kaftan bezpieczeństwa.

IV.

Między ziemią a narodem, między człowiekiem a przestrzenią tworzą się intymne związki. Te warunki topograficzne warunkują życie danego ludu. Równina rzeźbi inne charaktery, góry inne, a step jeszcze inne. Prasłowianie zamieszkując tereny równinne, byli ludem osiadłym rolniczym, opierającym swój ustrój społeczny na podstawie rodowo-plemiennej. Dowodzi tego zasób wyrazów, odnoszących się do kultury materialnej, t. zn. bogaty zapas wyrazów z zakresu uprawy roli, chowu bydła, gospodarstwa domowego, życia rolniczego. Skromny jest natomiast słownik wojskowy. **Oszczep, łuk, proca** — to prawie wszystkie wyrazy rodzime. Bowiem **miecz, szabla, hełm** to pożyczki germańskie.

Germanowie też wprawdzie byli ludem rolniczym, ale uprawę pozostawiali kobietom, starcom i dzieciom, a sami trudnili się wojaczką. Tacyt potwierdza to, że wojny były ich żywiołem, zajmując w ich życiu przodujące miejsce. Zresztą posłuchajmy Tacyta! Znajdziemy się jakby na uroczystości HJ! „Gdy młodzieniec dojrzeje, prowadzą go do gromady, gdzie starszyzna powiatowy (nie dawno powiedzielibyśmy Herr Gruppenführer) daje mu spisę, puklerz (nie dawno automat, sztylet). Ta jest u nich szata męska, ta najpiękniejsza młodości chluba". My Polacy aż nadto dobrze pamiętamy tę najpierwszą młodości chlubę: HJ. Warszawa 1944 rok. Kilkuset patriotów polskich ustawiono przed egzekucją. Usta zagipsowane. Ręce i nogi związane. Obok plutonu egzekucyjnego Wehrmachtu stoją szeregi HJ. Pętaki od 10 do 14 lat. Gdy ciała pomordowanych drgały w ostatnich konwulsjach, wtedy dzieci „wielkiego" narodu niemieckiego wybuchały śmiechem. To była „najpiękniejsza młodości chluba"! W ten sposób dzieci niemieckie zdobywały „ostrogi męskości"! Jakżeż bezbarwnie, bo bezkrwawo wyglądały słowiańskie postrzyżyny!

Jeżeli chodzi o naszego ducha pokoju, to tu przypominają się żale „Satyra" Kochanowskiego:

„Skowaliście ojcowskie granaty na pługi
A z drugiego już dawno w kuchni rożen długi
W przyłbicach kwoczki siedzą albo owies mierzą."

Pamiętamy też Reyowski ideał człowieka poczciwego, rolnika, który „wiosną z czeladką po sadkach, po ogródkach sobie chodzi".

Fanatyczne przywiązanie do ziemi każe jej bronić do upadłego, ale dalekie jest od łupieskiego, rabusiowskiego instynktu narodu „Raubritterów". Dlatego też Olimp słowiański obchodził się bez boga wojny Marsa, wystarczał mu Swarożyc, Daćbóg — bogowie życiodajnego słońca — ognia. Natomiast na Olimpie germańskim najdawniej czczony bóg Tius, bóg pierwotnie pogodnego nieba, przybrał rychło postać jednookiego męża trzymającego miecz. I Wodan, inaczej zwany Odynem, pierwotny bóg urodzajów stał się wnet jednookim wojownikiem na koniu, w złocistej zbroi, z mieczem i kopią w ręku.

V.

Skoro poruszyliśmy słowiański i germański **mythos,** to czas i na **ethos.** Chlubę Niemiec stanowi głębia myśli filozoficznej Kanta. Jego kategoryczny imperatyw: **czyń, boś powinien** ustanawia człowieka podmiotem moralności. Duch ludzki bez pomocy Boga jest wolnym prawodawcą w dziedzinie praktycznej. Od tego ubóstwianego rozumu praktycznego czyli woli już tylko krok do ubóstwienia wszechpotężnego „ja" Fichtego. I po tej pochyłej samoubóstwienia woli ludzkiej i jaźni staczała się myśl niemiecka coraz niżej. Więc Bóg nicością jest bez człowieka, pomocy jego potrzebuje, aby przez pośrednictwo jego myśli stworzyć największe dzieło, tj. państwo, **nota bene** państwo pruskie. Ta sama pycha rozumu niemieckiego, zdolnego do wysublimowania najbardziej płaskich i mętnych orzeczeń (np. hitlerowskie „rasa", „krew") do granic metafizycznych, doprowadziła Nietzschego do idei nadczłowieczeństwa. W dziedzinie czynów to samo ubóstwienie państwa doprowadziło do hakatyzmu Bismarka i hitleryzmu. „Myśmy państwem najdoskonalszym i w tym tkwi niezawodna nasza wyższość". „Wzywam was, byście silnie bili w twarde czaszki słowiańskie" — pisał Momsen, wielbiciel sprusaczonych Niemiec. A radca dworu Heinrich Vieredt w czasie tamtej wojny wołał: „O Germanio! Zmiażdż miliony ludzi! Niech aż po przestworza, wyżej gór gromadzą się dymiące ciała i kości ludzkie"! Jakby miał pan radca wizję Oświęcimia i Majdanka. Więc to nie tylko hitleryzm szerzył taki ethos. Korzenie hitleryzmu tkwią już w „Germanii" Tacyta. Cały naród, nie tylko jego prorocy Bismarck, Nietzsche i Hitler, stanął poza dobrem i złem. Jenseits des Guten und Bösen.".

Cieszymy się okruchami kronikarskich wiadomości, wspominających o dobroci, humanitaryźmie naszych przodków. Ale to mało. Najdawniejsza poezja ludowa jest skarbnicą złotych myśli i pragnień narodu. Tutaj najlepiej — moim zdaniem — przytoczyć wielką postać chłopa Ilię Muromca, bohatera „bylin" rosyjskich, który zajaśniał jako bohater obowiązku i ofiary dla ogółu. A i naszemu legendarnemu kołodziejowi-Piastowi daleko jest do wojowniczego Siegfrieda. Bo „Nibelungi" opiewają zbrodnię, krew i zemstę. Na mitologii ponurej, krwiożerczej postaci Hagena i mściwej Krymhildy wychowywały się od wieków niemieckie dzieci.

Człowiekiem rządzą trzy motory: rozum, uczucie i wola. Kto potrafi zachować równowagę między siłą imponderabilii a siłą rozumu i wytrwałością woli — ten jest członkiem społeczeństwa silnego, wielkiego. Niemcom nie brak siły woli, owej „Macht zur Wille", to też imponuje im brutalna siła. Dusza krzyżacka wyprana z wszelkiej uczuciowości, zadziwiła niedawno swoimi wyczynami świat cały. Byliśmy świadkami faktów z pogranicza piekielnego **panopticum** i baśni ludowej. Niemożliwe stało się możliwym. Oschły rozum, bezuczuciowość w połączeniu z „Macht zur Wille" ułatwiły inżynierom niemieckim precyzyjne wykonanie pieców krematoryjnych. Głęboka uczuciowość, smętna zaduma, rzewliwa tkliwość, przejmujące wzruszenie obok szalonej fantazji, szumnej wesołości — nastrój więc bardzo zmienny, dziś tak, jutro inaczej — oto co znamionuje znowu słowiańską lirykę, bo to najbogatszy dział słowiańskich literatur. Z uczuciowości wypływa szczerość, otwartość, optymizm, graniczący niestety nieraz z lekkomyślnością. **(Sclavus saltans.)**

VI.

Reasumując rzut psychologiczno-kulturalny: Słowianie a Niemcy — stwierdzić możemy, że w duszy słowiańskiej przeważał pierwiastek niewieści nad męskim. Możemy porównać Słowiańszczyznę historyczną do dziewicy kapryśnej, lekkomyślnej, rzewnej, płomiennej, tęskliwie oczekującej męża i pana-władcy. Dziewica podnosiłaby go pięknem swych uczuć, on zaś uczuciom jej nadawałby planowy kierunek. Oby tylko natrafiła na odpowiedniego pana i władcę! Tym mężem raz był Zachód, drugim razem Wschód; raz był mąż z przymusu, brutalny Niemiec, drugi raz subtelny Francuz czy Włoch. W małżeństwie ze zderzenia dwu psychik wychodzi lub przynajmniej wyjść powinna — synteza. I ta synteza powinna być poprawionym, uzupełnionym wydaniem dwu zderzających się elementów. Bo jeżeli wierzyć Kretschmerowi, że geniusz rodzi się przez skrzyżowanie dwu różnych pierwiastków rasowych, nie na podłożu „czystym" rasowo, ale „zanieczyszczonym", to zderzenie świata słowiańskiego ze Zachodem czy Wschodem musiało wzbogacić **psyche** słowiańską o te elementy, których im było brak. Przecież cywilizacja europejska z pjerspektywy historycznej przedstawia się jako cywilizacja śródziemnomorska rasy białej, stworzona przez Greków, przejęta przez Rzymian i przez nich rozpowszechniona, ale **oparta** o starą kulturę Azji i Egiptu. Mam na myśli kulturę mikeńską i egejską.

Czy w tych zmaganiach słowiańsko-germańskich czy słowiańsko-tureckich nie zahartowała się łagodna, słowiańska natura? Czyż nie otarto łez, aby wziąć do ręki miecz lub łopatę? Porównajmy Ślązaka, Poznańczyka, Czecha, Serba, Rosjanina! Przeszli wyraźną ewolucję w kierunku zmężnienia. Dlatego dzisiejszy neoslawizm poprzez gruntowne poznanie naszych zalet i grzechów, poprzez głębsze, rozumne współżycie kulturalne należało by pojmować jako wyrównanie różnic między męskimi a kobiecymi cechami, między młodzieńczością a dojrzałością! Konflikt między dominującą w psychice słowiańskiej cechą uczuciowo-idealistyczną a praktycznym, męskim realizmem, nurt irracjonalny, romantyczny, powstańczy, a nurt racjonalnej „pracy organicznej" kłócił się niejeden raz w Słowiańszczyźnie. Mówiąc konkretnie, chcąc sharmonizować młodość górną i durną z rozważną dojrzałością, należało by Polaka sczechizować, a Czecha spolonizować. Nie obwiniajmy jedynie siebie o tę chorobę! To nie tylko słowiańska choroba, ale ogólnoludzka. Bowiem chaos naszej epoki, którą już odczuł i Tołstoj, i Bergson polega na ścieraniu się w życiu i historii narodów racjonalizmu z irracjonalizmem.

Tadeusz Sokół

Noc nad Śląskiem

„I ślepym ciebie zgaduję zdumieniem"
(Leopold Staff)

Dokoła huty uśmiech jabłoni.
Słońce zaszło,
lecz zorza zachodu
zatrzymała się o Wielki Piec
i płonie
ponad fabryką
i ogrodem.

Ręka wzniesiona zamachem młota
jak drzewce pod sztandarem łuny.
zdumiony zgaduję: —
moją młodość
otwartymi oczami
hutom daję unieść.

Rzadko śpiewa górnik.
Pieśń robotnika stalowni
jest jak pięść
bijąca
w noc chmur
i w lęk.

Pochyl się
aż do ziemi —
słyszysz, płynie krew żyłami kopalń:
węgiel — serce Polski...
Klęknij.
ponad fabryką
i nad uśmiechem drzew
gwiazdy
bledną z wojny, niewoli, męki.

Dłonie opadłe

Dłoń ziemi
przeorana bruzdą Kamiennej
kołysze granatowe strzemię —
Łysicę.

Nad kominami stalowni
chwytam w oczy
stada wroniego rozwleczoną uzdę.

Na dłoni ziemi
twarde odciski pracy —
Starachowice,
gdzie
sierści — kominów fabrycznych
nie zjeżył ogień.

W pięści zaciskam
ziemi mojej dłoń —
piszczele głodu.

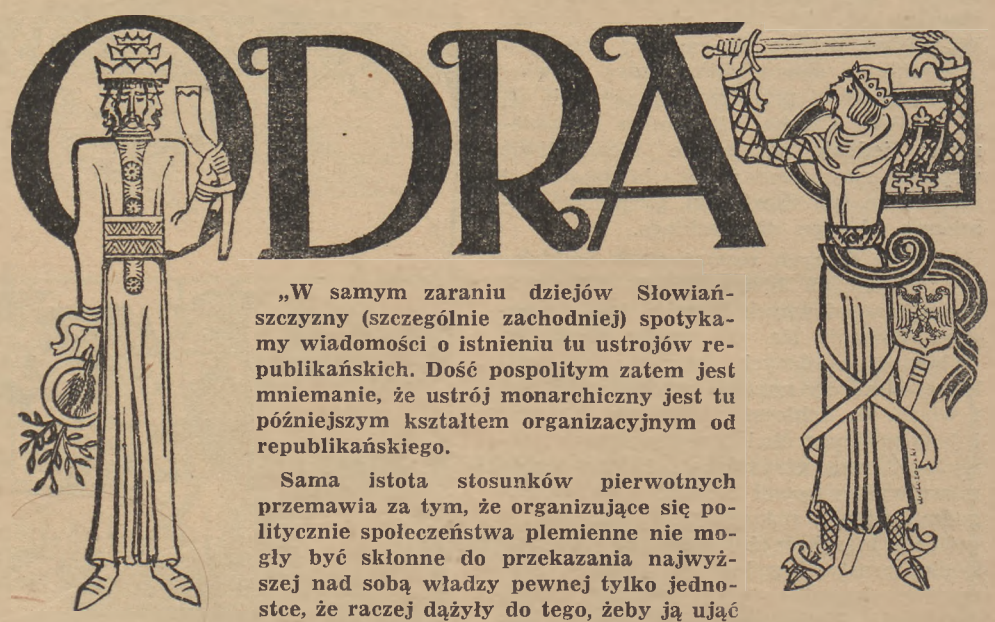

„W samym zaraniu dziejów Słowiańszczyzny (szczególnie zachodniej) spotykamy wiadomości o istnieniu tu ustrojów republikańskich. Dość pospolitym zatem jest mniemanie, że ustrój monarchiczny jest tu późniejszym kształtem organizacyjnym od republikańskiego.

Sama istota stosunków pierwotnych przemawia za tym, że organizujące się politycznie społeczeństwa plemienne nie mogły być skłonne do przekazania najwyższej nad sobą władzy pewnej tylko jednostce, że raczej dążyły do tego, żeby ją ująć we własne ręce, zbiorowo, czy przynajmniej przekazać związanym ze sobą ściśle organom o liczniejszym składzie."

(Oswald Balzer: Uwagi o kształtach państw pierwotnej Słowiańszczyzny zachodniej. Lwów 1930).

Józef Modrzejewski

ZIEMIA LUBUSKA

Ziemia Lubuska to najdziwniejsza chyba kraina Ziem Odzyskanych. Wszystko jakoby się sprzysięgło, by otoczyć ją milczeniem, a jej wielcy synowie porzucili ją bez wspomnienia, szukając sławy i zaszczytów po niemal całej Europie. Jeżeli jeszcze i dzisiaj mówi się o niej najmniej, to dowód, że nie zdołano przełamać tradycji — a szkoda.

Może wyda się to paradoksem, ale właśnie tu, w środku Europy, w granicach byłego przeludnionego państwa III. Rzeszy, znajduje się olbrzymi rezerwat leśny. Lasy zajmują bowiem 41 % powierzchni tej ziemi, podczas gdy w Wielkopolsce jest ich tylko 17,5 %, a na Pomorzu, Śląsku i w ziemi Braniborskiej (Brandenburg) zajmują czwartą część gleby. Jest to jednak symbol zwycięskiej walki natury z napierającą ekspansją niemiecką, walki, która ciągnie się od blisko dziesięciu wieków. Puszcze stanęły bowiem jako nieprzezwyciężona zapora na prostym szlaku z Berlina do Poznania, zmuszając „Drang nach Osten" do rozwidlenia się. Próbowały armie cesarskie przedzierać się ku kolebce państwa w czasach pierwszych Piastów, ale każda wyprawa stanowiła dramat tym bardziej tragiczny, że bohaterowie w dużej części ginęli bez wieści, a pozostali woleli nie wspominać upiornych chwil.

Stąd zrzadka topór najeźdźców znaczył szlak zresztą naprędce zarosły odstępami nowymi. Jedynie od wschodu przychodzili tu ludzie, którzy sprzymierzeni z puszczą, tropili dzikiego zwierza i wybierali miód z barci. Im tylko udało się tu budować strażnice drewniane: Santok, „klucz do królestwa polskiego", Drezdenko, Międzyrzecz, i Zbąszyń. Strażnice te zbiegały się nad Wartą, Noteć i dopływy, wyrastały wśród łąk podmokłych i drzemały przyczajone wśród puszczy. Każda z nich ma swoją bohaterską epopeę na podobieństwo bastionów wschodniego władztwa Rzeczypospolitej. Wśród nich zbaraską potrzebę przypomina do złudzenia obrona Międzyrzecza w 1256 r.

W przeciwieństwie do niemieckich grodów zakładanych systematycznie na zgliszczach siół słowiańskich coraz to bardziej ku wschodowi, grodziszcza lubuskie nie są odskocznią dla imperializmu. Jeżeli już będziemy mówić o zaborczości ich mieszkańców, to jedynie o takiej, która zaszczyt przynosi narodowi polskiemu. Chodzi tu o misje chrześcijańskie.

Jeszcze w 1002/3 r. zostaje w Międzyrzeczu założony pierwszy klasztor Benedyktynów dla nawracania Lutyków i Pomorzan. Zaraz na wstępie ścierają się tu dwie metody chrystianizacji, z których niemiecka opiera się na terrorze, a polska na poświęceniu. Krew pierwszych polskich męczenników, która zrasza ziemię lubuską w 1003 r., przynosi długowiekowy wstrząs w psychice tutejszych mieszkańców i przygotowuje ich moralnie do roli zarówno obrońców ojczyzny, jak i wiary. Dlatego też ziemia międzyrzecka wyróżnia się korzystnie wśród innych i mimo lekkomyślnego zapisu Bolesława Rogatki, napadów brandenburskich i zakusów reformacyjnych wytrwa przy Polsce do rozbiorów.

Do połowy XIII. wieku puszcze chronią ziemię lubuską przed penetracją niemiecką. Nie ziemia też zdradzi swą ojczyznę, ale niefortunny syn wielkiego obrońcy chrześcijaństwa spod Lignicy zapisem na rzecz arcybiskupów magdeburskich. Jego zapis otwiera drogę kolonizacji niemieckiej, która wdziera się zuchwale i otacza żelaznym wieńcem grody książęce. Wtedy powstają miasta Gorzów, Słubice, Miłoradz, Strzelce i Słodyń. Mieszczaństwo niemieckie osadza się pod Międzyrzeczem.

Droga kolonizacji jest wyraźna. Chce pochłonąć wszystkie przeszkody na drodze do Poznania i przygotować szlaki do inwazji zbrojnej. Polska dzielnicowa jest u szczytu słabości, stąd pośpiech i podniecenie margrafów.

Błyskawiczne wykorzystywanie początkowych sukcesów, tak charakterystyczne dla Niemiec hitlerowskich, znajduje zrozumienie już u Brandenburczyków. Stąd już w 1251 r. pierwszy wypad wywiadowczy na Zbąszyń, stąd dalej pięć lat później atak Ottona V. na gród międzyrzecki.

Czy Niemcy zaskoczą Wielkopolskę i wybiją sobie potężny klin w ziemiach polskich?

W Międzyrzeczu jest garstka obrońców i niewykończony drewniany zamek. Gdy ta przeszkoda zostanie usunięta...

Brandenburczycy palą miasto swoich rodaków, by na szerokim froncie przystąpić do szturmu samego grodu. W nim siedzą jednak ludzie zdecydowani. Mieszka w nim benedyktyński ideał poświęcenia bez granic.

Dlatego łamie się fala „Drangu nach Osten". Nadchodzi odsiecz i nieprzyjaciel przerażony — ucieka.

Wschodnie nadproże ziemi Lubuskiej jest uratowane. Nie jest to jednak koniec walki, tylko zmiana jej charakteru. Odtąd bowiem zaczyna się działalność germanizacyjna Cystersów, sprowadzonych przez miejscowego Władykę Bronisza, który zresztą sam ginie pod Lignicą. Cystersi to nie Benedyktyni włoscy. Nie chcą przyjmować do swych zgromadzeń w Gościechowie i Przemencie Polaków za wyjątkiem chyba ubogich synów chłopskich, których uważają za podatny element dla swych celów. Przeinaczają nazwy (Paradyż zamiast Gościechowo), wyciągają płody z ośmiu wsi podarowanych im przez Bronisza i uzupełniają je kupnem nowych. Atakują książąt i biskupów poznańskich o dotacje na budowę kościoła i klasztoru jak gdyby było to obowiązkiem tamtych. Równocześnie nie rezygnują z niemieckich kazań i popierania bratnich mieszczan. Na krańcach zachodnich Polski wyrasta więc silna placówka niemczyzny, która wyraźnie lekceważy pragnienia swego dobroczyńcy-fundatora i przygotowuje grunt do oderwania ziemi międzyrzeckiej od macierzy.

Energiczna interwencja Władysława Jagiełły zmusza zakon do wysyłania dwudziestu kandydatów na studia do akademii krakowskiej. Równocześnie ukazuje się przywiązanie chłopa polskiego do ojczyzny w osobie Jakuba z Paradyża, który podkreśla silnie swą przynależność narodową. Pomimo tego nauka niemiecka bezwzględnie przywłaszcza sobie tę świetną postać — epigona starochrześcijańskiej surowości zakonnej.

Walka władz państwowych i kościelnych Rzeczypospolitej z ekskluzywnością klasztoru paradyżańskiego kończy się w 1558 r. Od tego roku opatami zostają Polacy, a zgromadzenie rośnie w znaczeniu kulturalnym dla kresów zachodnich.

Trzecia metoda walki zaborczej niemczyzny rozpoczyna się z chwilą promieniowania haseł reformacyjnych. Niemiecka część mieszczaństwa Międzyrzecza od razu nadaje im cechy narodowej walki i usiłuje faktami dokonanymi zaskoczyć starostów i ludność polską. Udaje się rzeczywiście zluteranizować wspaniałą farę miejską na przestrzeni drugiej połowy XVI. wieku, ale w sprawę tą mieszają się biskup Goslicki (Wawrzyniec) i hetman Zamoyski, przywracając świątynię katolikom (1604 r.) wraz ze szpitalem miejskim.

Innowiercy lubuscy to przede wszystkim arianie. Na czele ich stoją niebylejakie osobistości, bo potężny ród Szlichtingów, a obok nich skromny pochodzeniem lecz głośny działalnością swą Marcin Czechowicz. Gniazdem rodowym pierwszych jest Bukowiec — miejscowość położona kilkanaście km. od Międzyrzecza. Nazwę tą rozsławi po całej Europie Jonasz Szlichting, znakomity kaznodzieja i polemista, autor 50 dzieł, w których przez dwadzieścia lat ścierał się z protestantami i Jezuitami, zwany Skargą ariańskim. Pisał po polsku, łacinie, po holendersku i niemiecku.

Czwarta faza oporu przeciw Niemcom to współzawodnictwo handlowe w zakresie wyrobu sukna. Korzystając z przywilejów królów polskich Zygmunta Augusta i Wazów Międzyrzecz dystansuje nie tylko niemieckie miasta na Lubuszy, ale rywalizuje skutecznie nawet z Gdańskiem i z przemysłem angielskim. W XVII. wieku wysyła swe wyroby do Moskwy i do Chin. Wiek później jest jedynym miastem polskim, które uniknęło katastrofy ekonomicznej. Rozbiory kończą oczywiście okres prosperity.

W piątej fazie chodzi o utrzymanie się polskości w tym najdalej wysuniętym na zachód cyplu t. zw. księstwa poznańskiego. Następują nowe kolonizacje, zarządzenia i szykany administracyjne. Pomimo tego właśnie stąd wychodzą dwaj pionierzy filologii polskiej — bracia Węclewscy. Starszy, Stanisław, bierze udział w ruchu zbrojnym w Poznaniu 1848 r. i zostaje osadzony w cytadeli. Po zwolnieniu pracuje w najbardziej zagrożonych ziemiach polskich, na Pomorzu (Chełmno i Chojnice) i Śląsku Dolnym (Wrocław). Wydał „Flisa" Klonowicza i „Sielanki" Szymonowicza.

Brat jego, Zygmunt, obiera sobie za teren dla swej działalności Kraków, Warszawę i Lwów. Opracowuje słownik polsko-grecki, historię literatury greckiej, przekłada tragików starożytnych i wydaje „Pamiętniki Paska". Zostaje członkiem Akademii Umiejętności w Krakowie.

Najcięższą próbę ziemia międzyrzecka przeżyła w okresie 1919 — 45. Jako powiat graniczny służyła młodzieży hitlerowskiej do przeszkolenia politycznego i rolnego. Pomimo tego w małej miejscowości powiatu międzyrzeckiego — Dąbrówce Wielkiej — utrzymuje się do 1939 roku ważny ośrodek szkolny dla Związku Polaków w Niemczech.

Na wiosnę ub. roku rozpoczęła się nowa faza życia na przywróconym macierzy nadprożu Ziemi Lubuskiej. Po roku pracy już znowu ziemia międzyrzecka wysunęła się na czoło powiatów lubuskich i to zarówno pod względem kulturalnym jak i gospodarczym i narodowym. Zachowały się bowiem całe grupy autochtonów, kultywujących stroje, tańce i pieśni regionalne (szczególnie Dąbrówka Wielka), otwarto muzeum dokumentów i przywilejów wraz z rekonstruowaną chatą słowiańską z Trzciela i zabytkami kultury łużyckiej. Zagospodarowano powiat przy pomocy elementu napływowego tak, że jest nie tylko samowystarczalny, ale pomaga innym. Polaków jest tu już przeszło 22 tysięcy, w samym Międzyrzeczu 4000 przy 70 Niemcach.

Międzyrzec posiadający najbogatsze i najstarsze tradycje polskie, ma wielką rolę w repolonizacji innych ziem Lubuszy.

Z TEKI MŁODYCH

Marek Antoni Wasilewski

Trzeba wracać

Na co czekasz bracie
W Londynie, Hawrze, Kairze?
Spójrz prawdzie śmiało w oczy,
Chybaś się Polski nie wyrzekł?

Na co czekasz, bracie
We Włoszech, w Szwajcarii, w Algierze?
Dlaczego ty tam nie wierzysz,
Skoro ja tutaj wierzę?

Na los pluj twardy i trudny,
Przyjeżdżaj, bracie, nie zwlekaj,
Ziemie na ciebie czekają
I Polska na ciebie czeka.

Patrz prawdzie śmiało w oczy,
Zdołamy losy przechytrzyć,
Przyjeżdżaj, bracie, natychmiast,
Wygrywa ten, kto jest szybszy.

To nie jest kłamstwo, to prawda,
Bracie w Belfaście, w Ankarze,
Polska cię wzywa byś wracał,
Jej dobro, bracie, tak każe.

Coż dzisiaj jest emigracja?
Kwiat zwiędły i bez korzeni.
Bierz, bracie, walizkę i plecak,
Korzenie w polskiej tkwią ziemi.

Po co masz żyć na obczyźnie,
Trwać w ciągłej tułaczce, w ucieczce?...
Do Polski wracaj, do kraju
I „jutro" przywieź nam lepsze.

Wróć żonie męża i ojca
Zapomnianego wróć dzieciom.
Wierz w przyszłość i w ziemię ojczystą,
Minionym się przyjrzyj stuleciom.

Bracie w Sztokholmie, w Dakarze,
Jest ziemia, jest Polska, jest praca!
Ojczyzna rozkaz wydała,
Zrozum, że t r z e b a powracać.

Nakładem Wydawnictwa
Michał Kowalski
Katowice, ul. Pierackiego 4

Wyszły z druku:

Brzoza J. **Stary Dzwon**, dramat z okresu walk partyzantów z Niemcami . . . . zł 65,—

Grzybowski J. **Moja pierwsza książeczka** do nauki czytania dla najmłodszych . . . zł 60,—

Mickiewicz A. **Pan Tadeusz** z 12 ilustr. Andriollego . . zł 80,—

Mickiewicz A. **Grażyna** — opowieść litewska. Wydanie szkolne . . . . . zł 25,—

Millaszewski G. **Ta książeczka Wam powie co się działo w Misiowie** — dla dzieci . . zł 65,—

Krystyn T. Wand **Krwawe ślady.** Powieść egzotyczna. Kolor. okładka St. Raczyńskiego . zł 180,-

W miesiącu maju 1946 r. wyjdą z druku:

Baumgardten A. **Lisek Matysek i jego przygody** — kolor. ilustr. L. Górskiego. Dla dzieci.

Bednorz Zbyszko **Glossy Śląskie** — wydanie specjalne.

Brzoza Jan **Dzieci.** Powieść. Wyd. III. Kolorowe, okł. St. Raczyńskiego.

Cettner Wł. inż. **Radiofonia i telewizja.** Przystępnie wyłożone zasady działania radia i telewizji. 156 ilustr. Str. 284.

Grzybowski J. **Wędrówka po lampie elektrycznej.** Kolor. fotomontaże Z. Acedańskiego — dla dzieci.

Grzybowski J. **Mały słowniczek ortograficzny** — dla szk. powsz.

Zieliński B. **Orli szpon** — powieść dla młodzieży. Wyd. III.

Tadeusz Różewicz

NOCLEG

Kowalska skradała się do drzwi. W pokoju, pełnym jaskrawego, elektrycznego światła, w trakcie najbardziej ożywionej rozmowy o polityce, pogodzie i cenach, taki krok był jak nagłe ostrzeżenie, jak sygnał, że należy stłumić ożywione głosy, bo w sieni dzieje się coś złego. Marek zdławił w sobie ordynarne przekleństwo i przyglądał się z ironicznym, jawnym uśmieszkiem owym niezwykłym ruchom gospodyni. Poruszała się coraz ostrożniej tak jakby na każdej dłoni niosła naczynie kryształowe pełne wody; pod wpływem tego ruchu zwyczajna chwila przemieniła się w oczekiwanie pełne napięcia. Zebrani przy stole zastygli w czujnych pozycjach, w ich nieruchomych twarzach występowały jak piętna, nieznane i nagle obnażone rysy strachu. Kowalska przywarła twarzą do drzwi, odwróciła głowę i trzymając palec na ustach przysłuchiwała się głosom dochodzącym z korytarza. W pokoju była cisza. Nagle Marek zaczął się śmiać głośno, bezczelnie. Oczywiście, za drzwiami znów nie było nikogo. Kowalska wyprostowała się i podeszła normalnym już krokiem do stołu. Ścisnęła dłońmi głowę i cierpiała w milczeniu. Kowalski uspokojony sięgnął do żółtego masełka i różowej marmolady. Zebrani przy stole rozluźnili się i przybrali zwykłe pozycje. Znów rozmawiali głośno i swobodnie o drobnych zdarzeniach dnia i o polityce światowej. Do przerwanej rozmowy nikt nie nawiązywał, bo nie było do czego; każdy mówił swój monolog. Pan Kowalski przymykając oko zdawał sprawozdanie z ostatniego „Krakauera" i z tygodniowego artykułu Goebbelsa w „Das Reich", komentował te artykuły i uzupełniał własnymi uwagami, albo całkiem nowymi wiadomościami, które wygrzebał między wierszami. Ktoś ziewał, przysłaniając sobie usta. Marek milczał."

— Ciekawe, myślał, czemu ona znów dzisiaj wyjechała z takim przedstawieniem. To już trzeci raz w tym tygodniu. Czuł. że to jest przeznaczone dla niego, znał przecież doskonale takie sposoby „psychologicznej", domowej recepty. Przez te dwa miesiące, które tu mieszkał, wszystko było bardzo dobrze, a nawet rodzinnie i nagle...

Marek wstał i przewijając się między krzesłami szedł do swego pokoju. Za jego plecami była cisza, wiedział, że wszyscy patrzą na niego. Stał długo nieruchomy, a kiedy położył się na tapczanie, spokojny, ze złożonymi na piersiach rękami, oddany ciemności, która unosiła go w swym głębokim nurcie, czuł się w tym domu bardziej samotny niż Robinson. Tamci znów zaczęli rozmawiać.

— Trzeba się trzymać, powtarzał uporczywie, trzymać za wszelką cenę, bo z nerwami kiepsko. To wszystko musi się skończyć, musi. I to w tym roku, bo... a co się tym tutaj znów stało? Tłumaczył tych ludzi przed sobą. Czuł dla nich pogardę i litość. Bali się i trzęśli, byli śmieszni, kiedy po godzinie policyjnej załomotały czasem na pustej ulicy strzały, bledli i przymykali oczy albo patrzyli przed siebie. Drżały im nogi i ręce, głos załamywał się śmiesznie w gardle. To są ludzie spokojni — myślał, chcą przeżyć. Ale czuł, że znów zbiera się w nim nienawiść do nich za to, że są tacy ostrożni, że głos łamie się im przy lada okazji, że ta Kowalska znów warowała dziś przy drzwiach, za którymi nikogo nie było. Więc tak bardzo im pachnie to śmierdzące życie. I co oni tu mają? Kupę łachów, gratów, garnków, „zapasów", mają te pierzyny, bety pod którymi jest ciepło; ano chowają się w te bety, zamykają oczy, zatykają uszy na wszystko, co się dokoła dzieje. Na czym, u diabła, im tak zależy? Jeszcze trochę i tak do lali. No pewnie, oni się kochają i boją o siebie nawzajem. Dlatego właśnie wypędzili by mnie z domu jak psa, boją się! Zresztą, co mnie to wszystko obchodzi, ja stąd nie pójdę, nie będę się nimi rozczulał, człowiek się rozkleja i jest do niczego. Ale, dlaczego tak nagle chcą mnie wystraszyć? Gdzie ja teraz znajdę melinę, żandarmi już tak dokręcili śruby, że ruszyć się nie można.

Marek miał dość cygańskiego życia przez zimę. Sypiał wtedy po różnych znajomych i nieznajomych rodzinach. Przekoczował tak cztery miesiące — tu dwa dni, tam trzy i znów tu dwa, tam trzy. Owo przerzucanie się „raz tu, raz tam", owa umiejętność rozkładania ciężaru swej niepożądanej osoby na poszczególne rodziny i domy, stanowiły całą gałąź wiedzy konspiracyjnej. Nie on jeden prowadził w pamięci ścisłą ewidencję znajomych, przyjaciół, ich mieszkań i łóżek, takich kalkulatorów było wielu. Kiedy „gość się spalił", lub został rozmelinowany, kręcił się i straszył jak okręt-widmo spokojnych obywateli, dopóki go gdzieś nie umieścili. Marek miał w głowie rozkład tych posesji szczegółowy i plastyczny. Znał domy sąsiadujące z „tym" domem, wiedział kto zacz tam mieszka, czym się zajmuje, jakie ma zwyczaje. Wiedział, o której godzinie otwiera się i zamyka brama, jak wygląda stróż i czy psy są złe czy głupie. Wiedział, o której godzinie wstawają i idą do pracy sąsiedzi, kiedy wychodzą na obiad, a kiedy na spacer. Znał ich twarze, głosy, śmiech i sposób chodzenia, chciał ich poznać i przeniknąć.

Miał ustalone sympatie i antypatie. Mijali się nie zamieniając słowa, lecz pod tą obojętnością była ukryta obustronna ciekawość i podejrzliwość. Marek czuł przez skórę ludzi swoich, pewnych i dyskretnych, przyjaznych i wtajemniczonych. W domu na Zielonej pod 74 lubił tę siwą panią, która z domu wychodziła najwcześniej, pewnie na jakąś tam swoją „prymarię". On sam opuszczał ten dom zaraz po otwarciu bramy, nim jeszcze powstawali „ci" z parteru. Ta pani, którą już kilkakroć mijał, była dobra, schodząc na dół czuł na sobie jej szare spokojne oczy, miał zawsze śmieszne uczucie, że ona patrząc za nim czyni znak krzyża. Albo ta Ruda ze Śliskiej, na pewno „równa" dziewczyna. Uśmiechnął się nawet raz, kiedy przymrużyła oko. Zresztą na wszelki wypadek włączył jej osobę i lokal do swej kartoteki, bodaj na jedną noc, może się kiedy przyda.

Zbyszek skorzystał tam raz z noclegu i chwalił sobie łoże tej Magdaleny i opowiadał o czerwonej pierzynie, pod którą on partyzant i bojowiec czuł się całkiem dobrze. Ruda jest równa dziewczyna, a to że się trochę puszcza, to jej sprawa osobista. Oczywiście Marek nie chciał robić przykrości Helenie więc obywał się bez tego grzesznego noclegu; Helena mieszkała w tym samym domu co Ruda na drugim piętrze. Czasem, kiedy korzystał z noclegu u Heleny, gasił wieczorem u siebie światło i widział Rudą, która spacerowała między dwoma żółtymi latarniami, ubrana w biały beret. Mimo, że u Heleny było wspaniale, ograniczał swoje wizyty do minimum. Nie chciał po prostu narażać tego domu.

Marek w czasie tej noclegowej Odysei wzbogacił swą znajomość ludzi, stał się znakomitym znawcą ludzkiej fizjognomii, potrafił z jednego uśmiechu, spojrzenia czy grymasu odczytać wszystko, co nurtowało gospodarza lokalu i jego rodzinę na widok niespodziewanego gościa. Jego system nerwowy udoskonalił się w czasie tych wędrówek po cudzych śmieciach, przemienił się w najczulszy instrument, który reagował nieomylnie i natychmiastowo na każdą niechętną nutę w głosie, na każdy cień i światło w źrenicy, na każde drgnienie powieki. Był jak ów przysłowiowy człowiek, którego odarto ze skóry. Z drugiej strony, życie i natura równoważyły to przewrażliwienie na swój sposób. nakładały bowiem na „nagiego człowieka" skórę jakiegoś nosorożca, robiły z niego stwór nieczuły na wszelkie objawy nieprzychylnych uczuć, które były często manifestowane bezkompromisowo przez bliźnich. Marek nie widział wtedy porozumiewawczych spojrzeń, nie słyszał słów, nie rozumiał aluzji, nie chciał zwrócić uwagi na brak świeżej pościelowej bielizny, był nieczuły na to, że wstyd panieński kuzynek i dziedzictwo starych ciotek jest narażone na szwank we wspólnej ciasnej sypialni, mimo zgaszonego światła i jego grzecznie zamkniętych oczu. Nieproszony pakował się do jakiegoś spokojnego, rodzinnego gniazda, wszczynał ruch, budził niepokój i popłoch, źle maskowany albo specjalnie podkreślany. Wchodził dziesięć minut przed godziną policyjną, marudził długo przy drzwiach nim przekręcił dzwonek, z robioną swobodą witał zaskoczonych domowników. Wtedy pani domu pytała go ze śmieszną troskliwością: „nie będzie się pan bał wracać tak późno, po godzinie policyjnej?" — chociaż wiedziała, że nie będzie się bał, bo tutaj właśnie musi przespać tę noc.

Im było bliżej feralnej policyjnej godziny, chłodniejsza się stawała rozmowa, wreszcie jednak zegar wydzwaniał ósmą i kryzys mijał. Następowało odprężenie, było jasne, że „pan Marek przenocuje".

Trzeba było prowadzić dokładnie rozkład noclegów, żeby nie przeciążyć i nie przerazić rodziny, żeby nie podpaść sąsiadom. Śpiąc po dwa do trzech dni wypadała na jeden dom jedna wizyta w miesiącu. Tylko na melinie u Henryka można było siedzieć tydzień i więcej. Wniknięcie do pokoju Henryka, który znajdował się na pierwszym piętrze, było połączone z całym ceremoniałem. Marek przemykał często o zmierzchu pod murami tego wielkiego szarego domu, przygarbiony, z opuszczonym na oczy daszkiem, podniesionym kołnierzem. krążył wypatrując, czy na pierwszym piętrze pali się światło. Potem podkradał się pod płot i rzucał grudkami ziemi w wiadome sobie okno; ślepe, zakryte szczelnie czarnym papierem uchylało się na mgnienie oka, w nikłej szczelinie światła widać było jasną głowę Henryka. Za chwilę uchylały się drzwi na parterze i w ciszy skradali się po schodach na górę...

Marek nie czuł się teraz na siłach, aby powtórzyć raz jeszcze swą noclegową Odyseję, był wyczerpany...

Wstał, zapalił światło i zabrał się do miesięcznego sprawozdania dla Emila. Nagle przerwał pisanie, sprężony i czujny łowił wyraźnie szmer głosu, który dochodził go z sypialni Kowalskich. Usłyszał swoje imię wymówione przez tamtych. Odłożył pióro i czekał. Po chwili odstawił krzesło i krok za krokiem, wstrzymując oddech zaczął się skradać do drzwi. W świetle, tłumionym zielono przez abażur, szedł po podłodze jak linoskok po wyprężonej linie, czubkami czujnych stóp łowił równowagę, drżąc za każdym skrzypnięciem podłogi. Za nim skradał się cień, nieodstępny towarzysz światła, kształt milczenia. Kiedy Marek dotarł do drzwi nie oddychał i nie myślał. Słuchał ciosy swojego serca i senny, monotonny głos Kowalskiej. Mówiła o jakimś mięsie rosołowym, że trzeba wołowinę skropić octem, że jutro zrobi zupę ogórkową na kościach. Słyszał czasem chrząkanie i mruczenie zasypiającego małżonka. Marek zaczął oddychać swobodnie i równo, uśmiechnął się nawet do zielonego lustra wiszącego na przeciwległej ścianie, w którym czaiła się jego przygięta ciemna sylwetka i stuknął się kilka razy w czoło... Zwariowałem.

Wtem zastygł. Znów usłyszał swoje imię. Teraz Kowalska mówiła o nim. Słyszał jej słowa. Jasne, wyraźne spadały na niego jak uderzenia. Skurczył się i zakrył głowę ramionami, po ciele, po twarzy przelatywały nagłe dreszcze. Ścisnął głowę oburącz i słuchał, słuchał...

...Ee zawracanie głowy, Marek i żyd... tylko taki dureń Franciszek... ale co sobie głowę durniem zawracasz — mamrotał Kowalski...

— No, ale Franciszek mówił... ach, jak ja mu to teraz powiem... widzisz... chodzi o nasz dom...

Nie wywalił drzwi i nie krzyczał, łapiąc rozchylonymi ustami płomienie oddechu, zgięty i przełamany jakby go ktoś trzasnął drągiem po grzbiecie, upadł ze szlochem na tapczan.

Jarosław Janu

Pieśni o sadzie rodzącym

Literatura czeska znalazła się podczas ostatniej wojny w bardzo specjalnej sytuacji. W dziedzinie tej niemieccy protektorzy zarzucili dziwnie prymitywne sieci: w ciągu pewnego okresu czasu sporządzili całkowicie przypadkową, niczym nieuzasadnioną listę „nieprzejednanych" autorów, którym zabronili publikowania w ogóle czegokolwiek. Co do wszystkich pozostałych z tępym zuchwalstwem zadecydowali, że — pod opiekuńczymi skrzydłami cenzury — uda się ich wychować i nagiąć do współpracy dla dobra wielkiej Rzeszy. Motyw wspaniałomyślności ze strony Rzeszy miał tu być argumentem kuszącym... Chodziło także w pewnej mierze i o zachowanie pozorów, na jakich ustanowiony był Protektorat, a więc i dotrzymanie obietnicy, że utrzymana zostanie autonomia w zakresie kultury. W konsekwencji więc w instytucjach kulturalnych w olbrzymiej większości utrzymali się ludzie o postawie bezwzględnie czeskiej, którzy, pod maską formalnej lojalności, mogli kontynuować twórczość, pełną patriotyzmu i umiłowania wolności chociaż by w wewnętrznej swej, nawet symbolicznej treści.

W tych warunkach podjęli pracę wszyscy ci autorzy, którym wolno było pisać, zwłaszcza poeci młodzi i najmłodsi. Utwory ich trafiały do rąk dojrzałych, wyrobionych czytelników, orientujących się w półsłówkach i przenośniach i gorąco reagujących na każdy ślad uczuciowego oporu czy protestu. Twórcy więc do niebywałej perfekcji doprowadzili kunszt wyrafinowanego przemycania ukrytych, tajonych uczuć, czego przez czas dłuższy niemiecka cenzura nie dostrzegała i nie rozumiała. Kiedy później nauczyła się je rozszyfrowywać, ba, nawet grzebać pazurami w zupełnie niewinnych utworach — kraj już był poza kryzysem najcięższego okresu depresji, duch narodu dźwigał się już na mocnych jak skała fundamentach niezłomnej postawy.

W warunkach czeskich literaturę podziemną zastąpiła więc na czas wojny przenośnia ukryta w słowach. Zupełnie inaczej zatem niż to było u Polaków. Do tej metody twórczej poezja czeska była wyjątkowo dobrze przygotowana, dzięki wysokiemu sugestywnemu potencjałowi ogólnego wykształcenia. Czeski wiersz — płynny i bogaty w obrazy pełnych odcieni metafor — osiągnął w tym ryzykownym i trudnym wyczynie szczyty mistrzostwa.

Zaraz na początku lata 1939 roku jeden z pierwszorzędnych czeskich liryków, Vladimir Holan, wydał potężny alegoryczny utwór pt. „Sen". W fantastyczną wizję nocnej Pragi zręcznie wplótł on symboliczne sylwety niemieckich okupantów, „gromady srogich upiorów" — jak je wyraźnie nazywa. Zainscenizował tu prawdziwy czarodziejski sabat „lemurów", martwych, poruszających się jak w mitach greckich straszydeł, w postaciach, w których bardzo łatwo było dostrzec czarne mundury SS-manów z trupimi główkami. W innej znów scenie „Snu" daje gryzącą parodię pruskiej parady wojskowej; poeta smaga bezlitośnie apokaliptyczną pychę tych,

„...w których ślad duszy tkwił
żądnej i władczej — duszy, która
zbędna się okazała wczora;
odeszła, został marny pył".

Najczęściej poeci czescy starali się powiązać swe patriotyczne wypowiedzi z tematami tradycyjnych i kulturalnych okoliczności i aktualizowali je w tekstach polemiczno-patriotycznych. W związku z manifestacyjnym pogrzebem Karla Hynka Machy, chowanego w maju 1939 r. na wyszehradzkim Slavinie, ukazało się kilka alegorycznych utworów poetyckich. Morawski liryk, Jaroslav Zatloukal, napisał przy tej okazji poemat, włączony do zbiorku „Promienie" (ukazał się w grudniu 1945 r.), w którym pisze:

„tu żywa ziemia na straży będzie trwać,
aż gdy na zew Libuszy znowu zabłyśnie
[świt..."

— Trzeba iść zaraz, iść stąd precz... nie, nie, nie, nie będę tłumaczył temu głupiemu stróżowi, trzeba iść precz.

Kowalska była zaskoczona i nawet przerażona, kiedy Marek wszedł rano do kuchni w płaszczu, z walizką, gotowy do drogi. Była przyzwyczajona, że Marek przed każdym wyjazdem uprzedzał ją. Wstawała wtedy wcześniej i gotowała mu kawę, szykowała na drogę jakieś bułki albo chleb. Teraz stała w niebieskim szlafroku przy kuchni i mrugała oczami, kiedy dziękował jej z uśmiechem za gościnę i mieszkanie. Wycierała automatycznie czystą, jasną szklankę, chciała coś powiedzieć, ale Marek rozłożył ręce.

— Służba, trudno. Zresztą... machnął ręką... dowidzenia!

Przed domem Franciszek zamiatał chodnik, uchylił czapki Marek skinął głową. **Rozpierał go jakiś pusty i szalony śmiech** na widok tego rasisty z miotłą w ręku. Szedł miarowym twardym krokiem, nie oglądając się za siebie. Po półgodzinnym marszu znalazł się w małej knajpce Malinowskiego. Marek oddał Malinowskiemu kopertę.

— Dla Emila, mruknął i usiadł przy stoliku. Dajno pan jedną czystą i coś przetrącić, głodny jestem!

Malinowski kręcił się za kontuarem, między kolorowymi butelkami, wielki czarny, podobny do niedźwiedzia. Marek zapalił. Dymek snuł się wiotką wstążeczką w górę, rozchylał się jak błękitny wachlarzyk, dzielił się na kółka, pentelki i esyfloresy, rozpływał w powietrzu pachnącym piwem i ogórkami. Umieszczony nad drzwiami dzwonek brzęczał i brzęczał. Jedni goście wchodzili, drudzy wychodzili. Przyjechała platforma z lemoniadą, woźnica dzwonił pustymi butelkami, wnosił skrzynki i łomy przejrzystego, srebrnego lodu.

Zegar wybijał monotonnie godziny. Marek kiwnął głową Malinowskiemu i opuścił knajpę. Było południe. Nieznośny upał rozkładał organizm miasta, smród i wyziewy tamowały oddech. Marek wlókł się brudną uliczką przedmieścia, tępo zapatrzony w nędzną jakby przetrąconą perspektywę; mijał objętnie niskie domki pokryte liszajem sypkiego tynku, usychające, żałosne ogródki, małe wystawki kolonialnych sklepików, gdzie leżała czarna kiszka, białe anemiczne bułki, nici i sznurowadła a w słoikach stały kolorowe cukierki jak śmieszne bezlistne kwiaty. Na rogu, pod blaszanym szyldem z różową szynką, drzemał w słońcu opasły rzeźnik, nad jego głową unosiły się roje czarnych much. Nagle przeleciała z wyciem zielona „buda" pełna żandarmów, niebieski obłok benzyny przyprawił Marka o mdłości. Opadło go osłabienie i obojętność na wszystko dokoła, rozpalone ciało, owinięte przepoconą bielizną zdawało mu się obcą istotą, nieznośnym ciężarem.

Wałęsał się po mieście aż do wieczora. Na ulicach przemykali nieliczni spóźnieni przechodnie. Ominął bokiem śródmieście i klucząc wąskimi uliczkami, szedł na drugi koniec miasta do Henryka. Dzielnica fabryczna, nieoświetlona, pełna parkanów, zaułków i niskich robotniczych domków schodziła działkowymi ogródkami w płaskie, rozległe łąki. Marek przeciął łąki na ukos i znalazł się nad strumieniem, który płynął od strony fabryk, jakby tam wśród czerwonych i czarnych murów biło czyste źródło jego życia. Marek stał na mostku i słuchał głosów lipcowego wieczoru. W mroku bełkotała woda, na niebie, jak gasnąca iskra zatliła pierwsza blada gwiazda. Nad miastem jaśniał coraz mocniej kask elektrycznych świateł; na tle płowego nieba rysowała się ciemna sylwetka wielkiego domu.

— Na pierwszym piętrze światło, to dobrze — pomyślał Marek. Przesunął się szybko między ogródkami i stanął pod wygaszoną ślepą ścianą kamienicy. Pochylił się i podniósł grudę ziemi aby cisnąć nią w okno Henryka. Wtem rozległo się w ciemnościach wściekłe głuche warczenie psa, zza rogu domu wychyliły się sylwetki kilku ludzi, dobiegł go gardłowy niemiecki szwargot. To szedł patrol. Marek skruszył w palcach bryłkę suchej ziemi i przesunął języczek bezpiecznika...

POZNAJMY ANGLIĘ

Lata powojenne odcięły nas dotkliwie od związków duchowych z Zachodem. Nagromadziło się masę zaległości do odrobienia w tej dziedzinie. Minie bez wątpienia czas dłuższy, zanim kontakt nasz z Francją, Anglią, Stanami Zjednoczonymi nabierze normalnego toku.

Dobrze jest uprzedzać to normalne funkcjonowanie wymiany kulturalnej przekładami klasycznych pozycji z dziedziny osiągnięć duchowych Zachodu. Do pozycji takich należy ukazujący się świeżo na półkach księgarskich A. Maurois i jego „Dzieje Anglii".

Pisarz francuski znany jest ze swych znakomitych monografii o Shelleyu i Byronie. Jego „Dzieje Anglii" należą do nieprzemijających sukcesów naukowo - literackich. Liczne wyjazdy do Anglii, wieloletnie studia, długi szereg prac szczegółowych na tematy angielskie, szczególnie monografia, poświęcona Disraclemu, lordowi Beaconsfield, utorowały autorowi drogę do głębokiego wniknięcia w charakter i ducha historii angielskiej.

W odróżnieniu od wielu autorów Maurois nie trzyma się elementu czysto politycznego w rozpatrywaniu przeszłości angielskiej, zwracając większą uwagę na zagadnienia ustrojowe. Nie ogranicza się też do rzucenia większego światła na jakiś wybrany okres, traktując całość jednolicie i równomiernie.

Z wielką trafnością podkreśla na przestrzeni wieków wydarzenia ważne, godne notowania. Parokrotnie zmieniał się dopływ żywiołu etnicznego na wyspach brytyjskich. Po Anglach, Jutach i Sasach z wieku V ma autor do zanotowania najazdy duńsko-skandynawskie, od wieku IX począwszy. A później najazd pięciu tysięcy rycerzy normandzkich z Wilhelmem Zdobywcą na czele. Maurois wnikliwie wysnuwa wnioski, które ten fakt ustroju Anglii wywołał. Król, wbrew baronom właśnie, żeby nie wzmacniać ich władzy, zostawił swobody anglosaskie w osadach i hrabstwach, zaprowadził sądy, zależne od swej rady, sądy przysięgłych, prawo ogólne. Następcy jego, zwłaszcza Henryk II, władzę centralną jeszcze bardziej wzmocnili. Jan Bez Ziemi zaś utracił ją przez wymuszenie na nim zgody dla Wielkiej Karty Swobód w 1215. Maurois bardzo umiejętnie naświetla kwestię podatków i ciężarów, ponoszonych przez stany, udzielanych królom wzamian za przejmowanie kontroli i inicjatywy w ustawodawstwie, co dokonało się w XIV i XV wieku.

Ponieważ Anglia nie była przedmiotem napaści z zewnątrz, rozwinąć mógł się w jej łonie ustrój polityczny, będący wyrazem przewagi stanów nad władcą. Stuartowie przegrali swoją próbę odsunięcia Izby Gmin od władzy. Doskonałe są sylwetki Tudorów spod pióra Maurois. Henryk VII, Henryk VIII, jego dzieci Edward, Maria i Elżbieta — to pyszne portrety władców renesansowych, zachowujących jedynie pozory legalności, w istocie zaś tyranów, rządzących według własnej, silnej coprawda i dla państwa korzystnie działającej woli.

Nie ulega wątpliwości, że dla zrozumienia nowożytnego układu politycznego znajomość historii Anglii jest nieodzowna. Dla uprzytomnienia sobie zaś pełnego znaczenia Wielkiej Brytanii konieczna jest znajomość sytuacji geograficznej, geopolitycznej, ustrojowej, kulturalnej tego narodu. Te wszystkie aspekty uwzględnia Maurois w wysokim stopniu.

Ponieważ o literaturze na ogół pisano w każdym kraju stosunkowo dużo dzieł, Maurois nie uwzględnia aspektu literackiego w szerszym zakresie. Daje mu tyle miejsca, ile innym wątkom kulturologicznym.

Opowiadanie jest pełne dynamizmu i dramatyczności. Cała walka między Stuartami a stanami, wypełniająca wiek XVII, stawia nam przed oczy długą galerię wybitnych postaci, które płacąc głową, ryzykują przeprowadzenie swoich zamiarów. Lord Strafford, arcybiskup Laud, Karol I, Cromwell to bojownicy przekonani o słuszności swoich poglądów, mobilizujący wszystkie siły, żeby je rzucić do walki.

Jakiejkolwiek dotknąć dziedziny, pojawiają się w opowieści Maurois sylwetki odgrywające niepowszednią rolę. Taki wiek XIX roi się znów na scenie angielskiej od ludzi na miarę Palmerstona, Beaconsfielda, Gladstone'a, Salisburiego, królowej Wiktorii i satelitów.

Siedząc na widowni, z książką Maurois w ręku, widzimy na scenie potężny eschylosowski dramat, rozwijający się w powolnym, nieuchronnym tempie historii. Pierwszym jego aktem są walki najeźdźcze z Celtami. Drugim Plantageneci. Trzecim Tudorowie z odrzuceniem supremacji Rzymu. Czwartym oligarchowie XVIII w., tworzący pierwsze imperium. Piątym palladyni Wiktorii i nowe British Empire, Commonwealth of British Nations. Warto spojrzeć na widowisko, reżyserowane geniuszem A. Maurois dla uważnego skupionego widza. W koncercie wielkich mocarstw zwycięskich w roku 1945 Anglia gra nadal ważną rolę. Trzeba znać jej przeszłość, żeby zrozumieć jej teraźniejsze cele i ocenić szanse na przyszłość.

Praca A. Maurois nie jest gloryfikacją Anglii. Jako Francuz nie dał się on nigdy ponieść temperamentowi, ani kiedy pisał o wojnie stuletniej w XIV i XV wieku, ani za wojny siedmioletniej w XVIII wieku, kiedy Francja straciła Kanadę na rzecz Anglii, ani w okresie walk napoleońskich. Przypuścić można, że gdyby nie Anglia i jej zwycięstwa, rola arbitra politycznego w świecie mogłaby była przypaść Francji.

Coprawda, jakże inaczej wyobrazić sobie musielibyśmy świat kierowany ręką Francji. Francja nie miała takiego ustroju doskonałego do rozpowszechnienia jak Anglia. Nie miała tego typu ludzi ani instytucji, którymi rozporządzali Anglicy.

Bierzmy do ręki „Dzieje Anglii" Maurois. One wytłómaczą nam rozwój i istotę ustroju reprezentowanego, dzieje wzrostu kolonii, charakter kulutry angielskiej, dający się łatwo podziwiać, a z trudem tylko naśladować. Dla Polaka wnikanie w dzieje Anglii jest zawsze pouczające. Uczy nas obiektywizmu, nie liczenia na obce siły, na pomoc choćby tejże Anglii, która jak wiemy w trakcie swych dziejów umiała straszliwie zaciążyć nad Irlandią, Indiami i koloniami.

Stanisław Helsztyński

Andre Maurois. Dzieje Anglii. Przekład Wacława Rogowicza. Wydanie drugie. — Warszawa, 1946. Galster, Lauter i Rutkowski. Tom I 344, tom II 328. jego „Dzieje Anglii".*)

Jan Baranowicz

Śpiewka o zadymce

Tarmoszą wiatry w gałęzie,
ze stawów chcą je wykręcić.
W kamiennej figur uwięzi
zamarzli u płotów święci.

W sadzach komina kurzawa
tańcem się diablim zabawia.
Miesiąc się zza chmur wykocił
i śniegiem gościńce zawiał.

Mróz szyby lodem zababrał,
— nie zmażesz — czym bądź chcesz — otrzej —
Tyle jest wiosny, co w chabrach
ócz mej dziewczyny najsłodszej.

(t. zn. gdy Praga i Vyszehrad znów rozbłysną chwałą wolności).

Z okazji nowego wystawienia „Sprzedanej Narzeczonej", pod dyrekcją Rafaela Kubelika, wydrukował Frantiszek Kozik jesienią 1939 r. w „Lidovych Novinach" poemat, w którym — wskazując na nieśmiertelny optymizm utwory Smetany — stara się dźwignąć dusze z depresji. Znalazł się tam wiersz:

„te pęta są tylko słomiane..."

Pod koniec tegoż jeszcze roku Franciszek Nechoutal wydał wielką rapsodię, poświęconą pamięci Petra Bezrucza, w której zaktualizował wspaniałą postać bohatera tego autora, Ondrasza, nieugiętego i mściwego barda czeskich gór. Przytacza w tekście swym niedwuznaczne hasła Bezruczowego wiersza:

„Nie pytaj mnie, bracie Ondro,
i pędź tam sam, bracie Ondro!"

W innych wypadkach. zwłaszcza w dramatycznych okresach przebiegu wojny. starali się poeci czescy krzepić ducha i postawę psychiczną swych czytelników, wzywali do wytrwania i wiary, naświetlając znaczenie i sens chwili dziejowej. Wspomniany już powyżej Franciszek Kozik umieścił w czasopiśmie „Index" pod koniec 1939 r. wiersz pod tytułem: „Zbierz siły", takiej treści: Pośród ciemnej nocy ktoś niecierpliwy wybiega z domu i staje na drodze,

„... w rozterce czeka wschodu...
rychło-li świtu
blask uderzy!
Noc taka gęsta jak wśród boru.
Ale on wierzy, wierzy...
Pytasz, kto czuwa tak wśród nocy?
Zbierz siły... ścisz westchnienie:
Słuchaj, to ja, to ty, to my..."

my wszyscy czekamy na „wschód", na Rosję, wierzymy, że odmieni losy wojny.

Młody poeta Jirzi Orten przemyca wśród swych strof mocne hasło wytrwania wszystkiemu na przekór — kreśli otwarcie bojowy program społecznego oporu:

„Na gruzach wolności rozbijać namioty,
zaciągnąć straż czujną wokoło obozu"

(w zbiorku „Ohnice" z r. 1940).

Znany liryk Franciszek Halas publikuje w roku 1941 poemat „Grająca dal", w którym przewija się motyw nieustawania w pracy i posuwania się naprzód w „grze". Wyraźnie nawiązuje do swego słynnego wiersza z dramatycznych chwil okresu przed mobilizacją w roku 1938, gdzie wówczas wołał:

„Tylko nie strach! Byle nie strach!
dźwięków tej fugi nie grał jeszcze nikt
jaką zagramy tu
gdy przyjdzie czas, gdy przyjdzie czas!"

Szczytem otuchy i nieodpartej wiary w zwycięstwo dla czytelnika czeskiego staje się głęboko ujęty utwór, dramatyczne monologi duszy, „Pierścień rodowy" Józefa Palivca z roku 1941. W dziele pokrewnym Valerego „Młodej Parce", którego jest mistrzowskim tłumaczem, rozwinął Palivec zdumiewająco głębokie ideały społeczne, pokazał nowe promienne odrodzenie, wizję jasnej przyszłości.

Jako ostatniego z autorów tworzącego w dramatycznych okolicznościach wojny czeską poezję alegorii, zgarniającego umiejętnie i odważnie każdy przebłysk uśmiechu przemijającej wesołości i przekazującego ją jako dowód żywota i wiary, wymienić musimy poemat młodego liryka Pavla Bojara, „Organy", wydany w roku 1944 w zbiorku „Trysk" (Galop". Dojrzały już karty dziejów — słuchamy motywu — by wpisać w nie melodię na organy:

„Wielkie organy, w których tchu
burzą się tai fuga pokory ludzkiego du-
[cha...
Przy dźwiękach fugi namiętnie wzywa
[serce me:
ty, nim z miejsc ruszą góry, walcz i
[świeć!"

Kończąc apostrofą życia:

„... bo z tęsknot naszych wyrasta
radosny, w słońcu rodzący sad..."

przewidział już poeta śmiało i dokładnie dzieło rewolucji i optymizm nowej wolności.

OKRĘG ŚLĄSKO-DĄBROWSKI POLSKIEGO ZWIĄZKU ZACHODNIEGO
wydaje obecnie wskrzeszony przedwojenny organ P. Z. Z.

«Strażnica Zachodnia«

„STRAŻNICA ZACHODNIA" ma przyczynić się do kształtowania i precyzowania tego co nazwać należy polskim programem zachodnim, który obejmuje krystalizowanie w opinii społecznej zasadniczych tez polityki i gospodarstwa na Ziemiach Odzyskanych jak i urabianie postawy wobec złego sąsiada za Odrą.

„STRAŻNICA ZACHODNIA" dawać będzie równocześnie syntetyczne oświetlenie — z polskiego punktu widzenia — procesów zachodzących na terenie okupowanych Niemiec.

CENA NUMERU 20 ZŁ.

Adres Redakcji i Administracji:
Katowice, ul. Powstańców Nr. 43. Tel. 369-01

Jeszcze o wysiedlaniu Niemców

Od czasu gdyśmy skreślili uwagi związane z wysiedlaniem Niemców z Ziem Odzyskanych (Nr. 4. Odry) minęło prawie półtora miesiąca. Wtedy byliśmy w przededniu zorganizowanej, na szerszą skalę zakrojonej akcji wysiedleńczej, dziś liczba Niemców już odtransportowanych dto „Vaterlandu" dobiega 200 tysięcy.

Na ile aktualne są uwagi wtedy skreślone, jak przedstawiają się one w praktyce i jakie zastrzeżenia nowe przy obserwacji akcji osiedleńczej i procesów z nią związanych dałyby się dziś wysunąć?

Zasadniczym brakiem przy wysiedlaniu jest pominięcie jednego z czynników najistotniejszych — selekcji elementu wyjeżdżającego pod względem politycznym. Pod tym względem nie ma całkowicie planowości, zagadnienie traktowane jest najzupełniej przygodnie. Bezwzględnie, że krótki okres czasu, preliminowany na przeprowadzenie wysiedlenia, odbiły się na gruntowności tej selekcji dosyć mocno. Podobnie konieczność zmobilizowania szerokich stosunkowo kadr urzędniczych dla przeprowadzenia odnośnych wywiadów i dochodzeń. Nie neguje to jednak wcale konieczności tej pracy z uwagi na jej doniosłe znaczenie na przyszłość.

Kryterium podstawowe, jakieśmy uprzednio wysunęli, a które opierało się na przyjęciu roku 1939 jako punktu wyjściowego przy przeprowadzaniu podziału jest niewątpliwie najsłuszniejszym i najłatwiejszym do sprawdzenia. Inny musi być stosunek do Niemców zamieszkałych na ziemiach zachodnich przed wybuchem wojny, inny całkowicie do elementu, osiadłego w czasie działań militarnych. Ostatni, jako czynnik w bezwzględnej większości partyjno - ideowy, jest do dziś dnia zarzewiem i oporą niemczyzny na naszych terenach i musi zostać bez wyjątków i zastrzeżeń wysiedlony w pierwszej kolejności.

Najlepiej przedstawia się sprawa pod względem selekcji fachowo - zawodowej wyjeżdżających Niemców. W pierwszym rzędzie wysiedlani są niepracujący, względnie dla gospodarki naszej niepotrzebni. Pozostawiani są natomiast czasowo fachowcy, szczególnie z branż, w małym dotąd stopniu obsadzonych przez Polaków. Niemcy zatrudnieni w ważnych gałęziach przemysłu otrzymują specjalne zaświadczenia, gwarantujące im chwilowo pobyt, prawo korzystania z mieszkania i posiadania mienia. Stworzone zostały specjalne komisje, rozpatrujące sprawy ilości zgłoszonych przez poszczególne instytucje potrzebnych na danych placówkach Niemców. Zadaniem komisji jest zredukowanie liczby nieodzownych fachowców do minimum. Tę inicjatywę należy powitać z pełnym uznaniem, bowiem stosunek zatrudnionych w przemyśle Niemców do Polaków przedstawia się nadal skandalicznie. Szczególnie w centrach przemysłowych Dolnego Śląska. O ile w grudniu ub. roku stosunek ten wyrażał się cyfrą 100 niemców do 30 Polaków, to obecnie wynosi on nadal prawie to samo. Pozostaje to częściowo z uruchomianiem coraz nowych obiektów, gdzie rozładowywany jest przybywający stale element polski, nie mniej jednak świadczy ujemnie o nieuregulowanych w tej dziedzinie kwestiach Ziem Zachodnich. Istnieją przedsiębiorstwa, gdzie nie tylko kadry robotników fizycznych, ale i większość pracowników umysłowych rekrutuje się spośród niemców. Kierownicy poszczególnych zakładów motywują fakt ten koniecznością jak najszybszego zwiększenia produkcji i stąd wynikającym brakiem czasu na wyszukanie odpowiednich sił fachowych polskich. Tłumaczenie to jest tylko częściowo słuszne, bo jednak kwestie narodowościowe są dziś bezsprzecznie na terenie Ziem Odzyskanych pierwszoplanowe w stosunku do gospodarczo-ekonomicznych.

Dodatnim objawem, zaobserwowanym w trakcie wysiedlania szczególnie we Wrocławiu, jest natychmiastowe obejmowanie przez odnośne czynniki w opiekę pozostawionego przez Niemców mienia. Tak np. mieszkania niemieckie natychmiast przekazywane są rodzinom polskim. Paraliżuje to tak ujemną w skutkach dewastację i szaber mienia poniemieckiego, zjawisko normalne w pierwszych okresach ludnej akcji wysiedleńczej ubiegłego roku.

Nawiązując raz jeszcze do braku kontroli Niemców, wyjeżdżających co do ich przeszłości politycznej, trzeba podkreślić znamienne zjawisko, nabierające już cech stałości, mające miejsce w punktach transportowych pogranicznych. Tak np. na punkcie w Kaławsku koczują całe grupy Niemców, przybyłych tu samorzutnie, nie w nakreślonych ramach planowej akcji wysiedleńczej. Usiłują się oni dostać do transportów, już zestawionych liczbowo i personalnie. Nie chodzi o powstający przy tym chaos i dezorganizację, bo temu zawsze można zaradzić. Ważne jest to, że wśród przeciętnie około 200 Niemców dziennie, dosyć chętnie przez komisje angielskie przydzielanych dodatkowo do składów transportów, znajduje się duży procent ludzi zaawansowanych uprzednio w regimie hitlerowskim, którym się grunt pali po prostu pod nogami i którzy pragną jak najszybciej wydostać się z terenów polskich. Na fakt ten normalny, już tak w Kaławsku jak i innych punktach kontrolnych, powinno się zwrócić baczniejszą uwagę.

Były, zdawałoby się, wszelkie podstawy do przypuszczenia, że obecny okres wysiedleńczy nie napotka na tak nagminny uprzednio, brak środków transportowych. Tymczasem, mimo tylu deklamacyj o usprawnieniu transportu, dla akcji wysiedleńczej brak jest pociągów. Z terenów Dolnego Śląska jak dotąd, wyjeżdża dziennie około 3.000 Niemców mniej, niż było to pierwotnie planowane. Podkreślił to niedawno, tłumacząc „trudnościami technicznymi", wojewoda dolno-śląski Piaskowski na konferencji prasowej we Wrocławiu. Podkreślić trzeba stanowczo raz jeszcze — może chwilowo zabraknąć transportu dla wszystkiego, ale nie dla repatriacji Niemców z Polski. Horendalne jest też twierdzenie o jakichś „trudnościach technicznych".

Z kolei istotnym jest zagadnienie dalej popełnianych rozlicznych błędów, które by można zakwalifikować do rubryki narodowościowych.

Pół żartem, pół serio opowiadał niedawno jeden z dziennikarzy po przybyciu z Niemiec, że istniejący tam „Związek Polaków wysiedlonych z Polski" wydrukował większą ilość deklaracji członkowskich. Żart ten, niestety, w obliczu zaobserwowanych w trakcie akcji wysiedleńczej wypadków, nabiera barw realnych. Znanych już jest kilkadziesiąt faktów przymusowego wysiedlenia Polaków do Niemiec. I to ostatnio, po tylu alarmach prasy, P. Z. Z-tu, i innych czynników kontroli społecznej. Przyczyną są tu albo błędne orzeczenia komisji weryfikacyjnych, albo zbytni biurokratyzm odnośnych urzędów, przewlekających sprawy przyznania obywatelstwa, odsyłających petentów od biurka do biurka, od instytucji do instytucji. „Pionier" dolnośląski z dnia 22. marca podaje kilka znamiennych przykładów tego rodzaju omyłek. O ile tak dalej pójdzie, to rzeczywiście, wspomniany Związek wysiedlonych Polaków pozyska wielu nowych członków.

Łączy się z tym i zagadnienie odwrotne. Wielu Niemców, w najlepszym razie nie propolsko nastawionych, pozostanie u nas w kraju? Jak sądzić z codziennych przykładów, niestety dużo. I tu znów zbytnia pochopność komisji rehabilitacyjno-weryfikacyjnych. Weźmy dla przykładu Gdańsk. Blisko 1/3 zweryfikowanych obywateli nie umie tam wcale mówić po polsku. Wnioski ich zatwierdzone zostały na podstawie wykazania się gdzieś w n-tym pokoleniu przodkami polskimi. Ale to przecież, iż dany „polak" miał prababkę Polkę, ale sam całe życie podawał się za Niemca i tyle tylko, że nie uczestniczył w akcji antypolskiej — nie świadczy o polskości. Sam miałem niedawno tego rodzaju wypadek na Śląsku Opolskim, że jeden ze zweryfikowanych „Polaków" w czasie bytności w jego mieszkaniu, wyraził się dosłownie: „Ich verbiete Ihnen, in meinem Haus polnisch zu sprechen"! Albo głośna w Katowicach sprawa, gdy po trudnej rozprawie jegomość, też z wnioskiem załatwionym pozytywnie, ucieszony z tej racji, wyrzucił w stronę komisji w zapale dziękczynnym głośne — Heil Hitler, z salutem w dodatku...

Zarówno krzywda rzeczywistych Polaków, jak i weryfikowanie „dobrych" Niemców są niedopuszczalne, zwłaszcza, że nie są odosobnione, ale niestety, b. częste. Jakoś trzeba troche więcej rozsądku komisjom weryfikacyjnym, bo inaczej podobne omyłki będą mnożyć się w nieskończoność.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga zasadnicza. W wielu miejscowościach Ziem Odzyskanych brak jest do dziś dnia list osób przeznaczonych do wysiedlenia. Poszczególne instytucje w tym zainteresowane, nie mają uzgodnionego planu działania, nie opracowują list tych wspólnie. — Trzeba te rzeczy jak najszybciej uregulować. Szczególnie ścisła współpraca musi nastąpić tu między PUR-em, M. O., Starostwami i P. Z. Z-em.

Najlepszą rzeczą byłoby po ustaleniu wzmiankowanych list stworzenie we wszystkich większych ośrodkach na Ziemiach Odzyskanych specjalnych obozów wysiedleńczych, gdzie grupowani byliby Niemcy przeznaczeni na repatriację. Obozy takie są już tworzone w niektórych ośrodkach, ale niestety, nie wszędzie.

Wiele jest inych jeszcze niedociągnięć naszej polityki wysiedleńczej. Zadaniem odpowiednich czynników jest natychmiastowe ich naprawienie. Zlikwidować trzeba chaos, dezorientację — wysiedlenie Niemców jest to bowiem sprawa nie tylko ko dnia dzisiejszego, ale i jutra, nie tylko bliskiej ale i najdalszej przyszłości.

Eugeniusz Paukszta.

Książka Ziem Odzyskanych

Jesteśmy Polakami! Księgarnia Opolska, Opole (1946); str. 68.

Temu maleńkiemu almanachowi dla ludności ziemi opolskiej, z brzydko skomponowaną okładką i z zakonspirowaną redakcją, warto poświęcić nieco więcej uwagi. Na różnych zebraniach dyskusyjnych, organizowanych przez Instytut Śląski w Katowicach, omawiano wielekroć sprawę planu wydawniczego dla ludności opolskiej. Ostatecznie zgodzono się na konieczność wskrzeszenia „Nowin Opolskich" z redakcją w Opolu, na wydanie serii broszur (na zebraniach owych ustalono nawet dokładnie ich typ oraz wygląd graficzny) i na stałe wydawanie kalendarzy ludowych oraz almanachów, możliwie bogato ilustrowanych. „Nowiny Opolskie" dotąd się nie ukazały; obawiamy się, że przy stałym odwlekaniu tej sprawy mogą zajść okoliczności, natury finansowej powiedzmy, które w ogóle uniemożliwią realizację tego przedsięwzięcia. Broszury z ustalonej serii po części już się ponoś drukują. Zaś jeśli chodzi o trzeci wymieniony typ wydawnictw, ukazała się właśnie książeczka „Jestesmy Polakami", która łączy w sobie właściwości almanachu (brak niestety ilustracji) i kalendarza ludowego.

Książeczka zaczyna się od słynnej modlitwy Wyspiańskiego z „Wyzwolenia", poczem w dłuższym artykule „Jak się rządzimy", wyjaśniono najważniejsze kwestie prawne władzy polskiej. Teksty hymnów narodowych i religijnych przetykają ten artykuł. Niedbale wykonana mapa Polski uzupełnia opis geograficzny Polski. Zagadnienia ustrojowe i polityczne starano się popularnie objaśnić w artykule o tym, jak się rządzą dziś kraje Europy. Prozę artystyczną reprezentuje opowieść Żeromskiego o rzezi Gdańska i opowiadanie Pawła Grudki, operatora filmowego w konwoju morskim do Rosji w maju 1942. Silesiaca zaczynają się od krótkiej historii Śląska, poczem następują wspomnienia śląskie Stanisława Bełzy z roku 1879, wreszcie poezja śląska, a więc Bonczyk, Damroth, pieśń powstańcza, oraz ciekawe i świadome zestawienie śląskiego tekstu pieśni o pani, co pana zabiła z „Liliami" Mickiewicza. Całość kończy się „rokiem śląskim", a więc kalendarzykiem historycznym, legendami i pieśniami opolskimi, gwarowymi przysłowiami. Książeczkę zamyka jak klamra Osmańczykowa „Pieśń rodła".

Podaliśmy umyślnie dokładną treś książeczki, uważamy bowiem ten typ wydawnictw dla autochtonicznej ludności polskiej Ziem Odzyskanych za najważniejszy i wymagający natychmiastowej realizacji. Obowiązkiem zatem każdego, kto zajmuje się organizacją życia polskiego, a szczególnie kulturalnego, na tych ziemiach, jest dokładne zapoznanie się z próbami tego typu wydawnictw. Książeczkę „Jesteśmy Polakami" uważamy bowiem za próbę, która wymaga dokładnego przedyskutowania jak również zbadania, w jaki sposób przyjmują ją w oznaczonym terenie. Ma to być bowiem pierwsza książka, popularna, tania i odpowiednio zorganizowana treściowo, która dotrze do izb opolskich, do których dotąd nie dociera gazeta polska, dla tej ludności zresztą będąca złą propagandą polskości, ani wszelka inna literatura, obliczona na poziom Polaka wychowywanego w szkole i atmosferze bezwzględnie polskiej.

Jak dotąd zaobserwowano, największą poczytnością cieszy się ostatnia część kalendarzowa, — należało by ją zatem w następnych wydaniach rozbudować i ewentualnie połączyć z właściwym kalendarzem, t. zn. ze spisem dni i miesięcy. W niektórych miejscowościach użyto już tej książeczki jako pomocniczej lektury szkolnej dla młodzieży opolskiej wobec braku książek szkolnych. Zbyt ubogi jest dział prozy artystycznej, szkoda, że nie dano maleńkiego fragmentu z „Legnickich pól" ze słowniczkiem archaizmów. Do pieśni należało dodać nuty, znajomość nut jest tu powszechna. Niewybaczalnym błędem jest brak ilustracyj. Ale tu snać przemogły względy materjalne, zwłaszcza, że książka miała być tania i jest nią rzeczywiście.

Spodziewamy się, że czy to na tych łamach czy też na którymś z wieczorów dyskusyjnych Instytutu Śląskiego przedyskutuje się celowość omówionego układu książki, przy czym, powtarzamy to jeszcze raz, będzie rzeczą konieczną znać opinię odbiorców, dla których rzecz jest przeznaczona. Uważamy sprawę określenia typu i oblicza książki dla Opolszczyzny (a także dla Warmii i Mazur) za problem najważniejszy w ramach programu kulturalnego dla Ziem Odzyskanych. Ta literatura ma m. in. naprawić wszelkie zło, wyrządzone ludności miejscowej przez niektóre szkodliwe lub wręcz zbójeckie pociągnięcia pierwszych przedstawicieli ludności i administracji polskiej. Omawiana książeczka o tym wszystkim nie wspomjna ani słowem. I to jest jej najpoważniejszy błąd. Sprawa odbudowy zaufania do Polski zależy od potrącenia tamtych bolesnych strun ale potrącenia takiego, by końcowy wydźwięk był harmonijny i pozytywny.

J. Brzym

Józef Widajewicz: Niemcy wobec Słowian połabskich. Wydawnictwo Instytutu Zachodniego, Poznań 1946; str. 63.

Profesor Widajewicz w tym doskonale napisanym szkicu wskrzesza przed nami krwawe i długie zmagania Słowian połabskich oraz opisuje podstępną i konsekwentną politykę niemiecką, zdążającą do zupełnej ich zagłady.

Już zaraz pierwszym wzmiankom historycznym o Słowianach połabskich towarzyszą zapiski o niemieckim naporze na wschód. Karol Wielki w r. 806 buduje koło Dziewina (Magdeburga) nad Łabą pierwszą twierdzę, potem wznosi się inne, zaś w północnej stronie od Dziewina powstaje marchia. W marchjach koncentruje się siły niemieckie przeciwko Słowianom, jeszcze nie „dla czynienia podbojów lecz dla szerzenia postrachu i wstrzymania przez to sąsiada od napadów na państwo frankońskie". Działalność Karola Wielkiego wytyka szlaki dla jego następców, odtąd tymi drogami pójdzie zagłada Słowian. Idea Drangnach Osten pojawią się wcześnie u Franków, Bawarów, do największych wyników dochodzą Sasi. Henryk I (919 — 936) ulepsza pograniczną organizację zapoczątkowaną już przez Karola Wielkiego. Powstaje na pograniczu „legion łotrów", uzbrojony przeciw Słowianom a złożony z przestępców, którym król Henryk darował karę. Powstaje twierdza w Miśni, mająca utrzymywać podbitych Serbów w posłuszeństwie. Następca Henryka Otto I Wielki prowadzi dalej „zbożne" dzieło ojca. Za jego czasów działa dobrze znany w literaturze i historii Słowian margrabia Gero. Historia niemiecka nazywa Ottona apostołem Słowian, był nim w istocie, ale „nawracanie to bodaj że się nie różniło od podboju", jak podaje znakomity uczony niemiecki A. Meitzen. Marchie i kościół — to były filary, na których oparły się germanizacyjne poczynania Ottona I. Buntują się Słowianie, Gero morduje im 30 książąt, Otto zadaje im nad rzeką Raksą w roku 955 druzgocącą klęskę. Odetchnęły ludy połabskie podczas długoletnich wojen Polski z Niemcami za Bolesława Chrobrego. Łączą się w tzw. związek Weletów, zadają 1056 u ujścia Haweli do Łaby wielką klęskę Niemcom, że ginie nawet ich wódz naczelny Wilhelm. Były to jednak szczyty potęgi słowiańskiej, po których nastąpił upadek. Wewnętrzny rozstrój niszczy federację Słowian, w drugiej połowie XII wieku kończy się niezawisłość naczelnych państw Słowiańszczyzny połabskiej. Kapitulują w r. 1068 bitni i kulturalni Ranowie, zamieszkujący Rugię, inny germanizator Albrecht Niedwiedź zdobywa „pokojowo" państewko Stodoran ze stolicą w Braniborze.

Przyczyny, z jakich upadli Słowianie połabscy, są następujące: właściwości psychiczne Słowian połabskich, topografia ich ziem i wynikająca stąd niemożność stworzenia potęgi jaką daje zjednoczenie, rozbicie wewnętrzne i spory, sąsiedztwo zaborczych Niemiec, młodszość kulturalna Słowian.

Taki był by skrót pierwszej części znakomitego szkicu prof. Widajewicza. W drugiej części czytamy już o długowiecznym procesie germanizacji podbitych krajów połabskich. Długowiecznym, bo na wyspie Rugii dopiero w roku 1404 umiera ostatnia kobieta, która mówiła po słowiańsku; w ośrodku Weletów mowa słowiańska umilkła w drugiej połowie XIV wieku a w południowo-zachodnim zakątku prowincji Meklenburg utrzymali się Słowianie do połowy XVI wieku. Najdłużej utrzymała się słowiańskość w okolicach koło Łuchowa na zachód od Łaby, wokoło pomorskiego miasta Słupska oraz na Łużycach. Na obszarze koło Łuchowa w drugiej połowie XVIII wieku mija mowa słowiańska, ale posiadamy jej słownik opracowany przez pastora Henniga i kronikę w opracowaniu karczmarza Jana Paruma Szulce (1678 — 1734). Słowińcy w okolicy Słupska wymarli na naszych oczach już, Widajewicz przypuszcza zresztą, że może żyje tam jeszcze dziś jakiś starzec, który zna pewną ilość wyrazów mowy ojczystej. Ostali jeszcze Łużyczanie, najwytrwalsi i najlepiej zagospodarowani w rodzimą kulturę, odradzający się dzisiaj i domagający się praw politycznych.

Praca prof. Widajewicza warta jest jak najszerszego rozpowszechnienia. Popularność jej jest najlepszego gatunku, każdy sąd ma pokrycie w badaniach naukowych, wykład jasny, miejscami wręcz piękny. Może ona z powodzeniem zastąpić przestarzałe już dziś i nieuchwytne opisy zmagań słowiańskich i germanizacji ziem połabskich, dokonane przez nieodżałowanego Wilhelma Bogusławskiego. Zresztą — jeśli wolno wyrazić małe życzenie — można było, idąc za wzorem Bogusławskiego, niektóre opisy germanizacji krajów połabskich zilustrować nadzwyczaj barwnymi i plastycznymi cytatami z dawnych kronik.

J. Brzym

»CZYTAJ«

Ilustrowany poradnik poświęcony praktycznym potrzebom czytelnictwa

Wysyłamy bezpłatnie:
Szkołom, bibliotekom, świetlicom,
osobom zainteresowanym

Księgarnia Michał Kowalski — Katowice, ulica Pierackiego 4

Listy z Polskiego Zachodu

O czekaniu na sztukę

Wałbrzych, w maju.

Pisać o życiu kulturalnym Wałbrzycha na przestrzeni ostatniego półrocza nie jest łatwo. Działo się tu zbyt wiele i zbyt mało.

Społeczeństwo tutejsze jest chłonne, pragnie raz w tygodniu przynajmniej jakiejś imprezy kulturalnej, stojącej na takim poziomie, do którego przyzwyczajone było tam, skąd przyszło tutaj.

Dobry teatr, wieczór literacki, film, koncert — oto czego pragnie tutejsze społeczeństwo. I pragnąć będzie jeszcze bardzo długo.

Większość tutejszych mieszkańców to ludzie, którzy wrośli korzeniami w Polskę Centralną, gdzie życie kulturalne kipi. Przeszczepieni na ten grunt odczuwają dotkliwy brak tego życia. Zadawalniają się tym z konieczności, co łaskawe bogi przyniosą i co bardzo często mało ma wspólnego z prawdziwą sztuką lub stojącą na poziomie rozrywką kulturalną.

Stąd nawet imprezy niewybredne cieszą się powodzeniem czasem zgoła nieoczekiwanym. Istnieje jednak druga strona medalu tego smutnego zagadnienia. I tu pada pytanie: dlaczego unikają tych stron ci wszyscy, którzy mogliby się tu przyczynić do upowszechnienia kultury?

Piękna sala teatru miejskiego całymi tygodniami jest martwa, sala Konserwatorium Muzycznego zamiera, kilka przyzwoitych kin wyświetla filmy, które przyprószył już kurz zapomnienia.

A przecie nie wolno nam zapominać, że Wałbrzych jest faktyczną stolicą Dolnego Śląska. Nie Wrocław, poległy w ruinach nie Lignica, pamiętająca czasy Krzywoustego, nie Jelenia Góra, rozdmuchana do rozmiarów Klondyke, a właśnie Wałbrzych. Uwaga odpowiednich czynników, kierujących polityką kulturalną, powinna być w pierwszym rzędzie skierowana tutaj na nas, na Wałbrzych.

Zamiast wysyłania najrozmaitszych delegatów (ostatnio kilkunastu w celu rekwizycji wyrobów monopolu spirytusowego tym wszystkim, którzy nie posiadają koncesji a koncesje na tym terenie w ogóle nie były wydawane), których koszt i utrzymanie pochłania grube sumy a celowość jest bardzo problematyczna, chcemy widzieć zespoły artystyczne, które same na siebie zarobią, na które pieniędzy państwowych łożyć nie potrzeba.

Wymogi tutejszego społeczeństwa zaspakaja w dużym procencie Teatr Dolnośląski z Jeleniej Góry pod dyr. J. Waldena. Teatr ma ustaloną markę na tych terenach i zbyteczne było by dorzucanie pochwał. Przedstawienia są na poziomie, jaki widzimy w teatrach centralnych. Walden nie potrzebuje reklamy. Widzieliśmy tu: „Cyrulika Sewilskiego", ‚Zemstę" Fredry, „Lekarza mimowoli" Moliera, , Moralność pani Dulskiej" Zapolskiej, „Świerszcza za kominem" Dickensa „Dzień bez kłamstwa" Montgommery'ego.

Jak słychać, w niedługim czasie ujrzymy dramat Żeromskiego „Sułkowski". Repertuar wcale pokaźny, którego nie powstydził by się żaden teatr i żadna scena.

Wspomnieć należy jeszcze o kilku koncertach muzyczno-wokalnych z udziałem wykładowców tutejszego Konserwatorium, o wieczorze tańca artystycznego Haliny Pliszewskiej, występów Xeni Grey i Ruszkowskiego.

Jedną z ostatnich imprez, bardzo udanych, lecz niestety niedocenionych była wystawa obrazów Wiktora Reiffa (na około 25 tysięcy Polaków — w ciągu miesiąca wystawę zwiedziło około tysiąca osób, w tym większość młodzieży szkolnej). W skromnej sali Biblioteki Miejskiej artysta dał bardzo interesujący przegląd najpiękniejszych i najbardziej charakterytsyczniejszych fragmentów wielkiego Wałbrzycha. Na całość złożyło się 14 obrazów pastelowych, 2 akwarele i 1 węgiel.

Przed oczyma widza, jak w kalejdoskopie, przesunęły się stare zabudowania, ul. Fredry na Nowym Mieście, Ratusz, Kościół ewangelicki Kościół parafialny, Fragmenty kopalni „Wałbrzych", Kopalnia „Julia", Elektrownia, Sortownia węgla, Zakłady chemiczne, Droga na Węglowo... wszystko to, co jest bliskie sercu każdego z nas tutaj. Wałbrzych, pokazany w sztuce, stał się nam bliższy.

To co widzieliśmy, to kilkumiesięczny dorobek artysty bardzo chłonnego, nieustającego w pracy, artysty, po którym Wałbrzych wiele się spodziewa. Reiff osiedlił się tu na stałe i, jak słychać, nosi się z zamiarem wydania teki obrazów poświęconych całkowicie miastu i okolicy (większość artystów i pisarzy, którzy przyjeżdżają tu chętnie, jeszcze chętniej wyjeżdża, nie doceniając zupełnie wartości moralnych, jakie w tutejszym społeczeństwie zbudzić mogą — nie mówiąc już o wkładzie, jaki powinni dać piśmiennictwu, nie mówiąc o konieczności popularyzacji tych ziem w Polsce Centralnej). Ale wróćmy do wystawy.

Oprócz obrazów wystawił Reiff kilka projektów dekoracji wnętrz, które aczkolwiek przyjemne i estetyczne, nie wychodzą poza normę ogólnie spotykanych. Projekty pomników, z których jeden monumentalny, więźniów obozów koncentracyjnych, drugi bohaterów poległych o wolność — zamykały wystawę.

Wałbrzych jako jedno z największych skupisk polskich na Dolnym Śląsku, jako centrum największego okręgu przemysłowego, od dawna wyczuwał potrzebę własnego pisma. Miał nawet pewną tradycję. Tu zaczęło wychodzić **pierwsze** polskie pismo na Dolnym Śląsku. Żywot jego był wprawdzie krótki, (10 numerów w przeciągu 10 tygodni), ale należy pamiętać o warunkach, w jakich rozpoczęto pracę. Obecnie z inicjatywy Wydz. Kult. i Sztuki przy Starostwie Grodzkim oraz miejscowego Oddziału Inf. i Prop. przedstawiciele społeczeństwa postanowili wydawać czasopismo ilustrowane „Wałbrzych". Pismo poświęcone będzie najistotniejszym zagadnieniom tutejszego okręgu, oraz popularyzacji Dolnego Śląska w reszcie kraju. Przyrzeczona współpraca profesorów Uniwersytetu Wrocławskiego, oraz szeregu literatów i artystów — plastyków, każe przypuszczać, że pismo podoła zadaniu i spełni swą rolę.

Wacław Mrozowski

Sprawy teatru

Pasażer bez bagażu

Literatura francuska — jest sztuką konkretności. Mauriac wyznał kiedyś, że nie może rozpocząć pisania, póki nie rozplanuje sobie dokładnie domu, w którym ma toczyć się akcja i nie uzmysłowi alei parku, wysadzanych starymi drzewami. To nie znaczy oczywiście, aby literatura ta miała być reportażowym odbiciem rzeczywistości. Bohaterowie tych powieści nie są ludźmi, wyciętymi z codziennego życia; ale są istotami, poruszającymi się według podobnych praw. Salavin, nieszczęsny bohater najpiękniejszej powieści Duhamela, nigdy nie chodził w rzeczywistości ulicami Paryża, a jednak po zamknięciu książki myślimy o nim jako o najlepszym ze znajomych. Ta sama konkretność, plastyczność i siła sugestywna jest udziałem niektórych postaci „Pasażera bez bagażu". *) Bohater tej młodzieńczej, a tak dojrzałej sztuki, Gaston, mówi w pewnym momencie, że przeprowadza coś w rodzaju „policyjnego śledztwa". O co chodzi w śledztwie? O nagromadzenie jak największej ilości szczegółów i powiązanie w całość logiczną. W tym śledztwie filozoficznym i literackim, jakim jest sztuka Anouilha, młody autor francuski stara się również nagromadzić jak największą ilość szczegółów. W pełnym ich świetle uwydatni się dopiero właściwe zagadnienię, istotny problem utworu. Wyobraźmy sobie człowieka, który podczas wojny doznał gwałtownego wstrząsu nerwowego. Stracił wskutek tego zupełnie pamięć; nie wie nic o wypadkach, które poprzedziły ów dzień krytyczny. Życie tego człowieka zostało w ten sposób jakby rozłupane na dwie części. Wypadki takie się zdarzały; posłużyły one za kanwę także i dla sztuk Giroudoux i Pirandella.

Ale świat zbyt jest mały, by człowiek mógł się naprawdę odseparować od swej przeszłości. Gaston nie pamięta swych lat dziecinnych — może zapomnienie to jest intencjonalne, może jest przeczuciem, półświadomą ucieczką. Ale jest przecież rodzina, są najbliżsi. Ci pamiętają, przychodzą się upomnieć o swoje prawa. Matka, kochająca nieumiejętnie, brat zbyt wyrozumiały i bierny, bratowa zakochana do szaleństwa, domownicy, służba — wszyscy poznają tego, co stracił o nich pamięć. Teraz na pozór nic nie powinnoby przeszkodzić szczęśliwemu powrotowi marnotrawnego syna. A jednak...

Jednak przeszkadza — on sam. Ta przeszłość, którą odnalazł Gaston, wydaje mu się niepodobna do własnych o niej wyobrażeń. Ta przeszłość jest zła i okrutna. brzydka i egoistyczna; Gastona napełnia obrzydzeniem i wstydem. Zmarnował młodość! Okrutnie, dla zabawy, zabijał ptaki; uwiódł żonę własnego brata; na matkę podnosił rękę; ciotkę oszukiwał i okradał; najlepszego przyjaciela uczynił kaleką; nie przepuścił żadnej nawijającej się dziewczynie; czynił głupstwa, nonsensy, rzeczy brzydkie.

I tu docieramy do właściwego problemu tej sztuki. Uczono nas niegdyś, że dzieciństwo i młodość — to najpiękniejsze okresy życia. Jan Jakób Rousseau wierzył, że cywilizacja znieprawia; że trzeba więc wrócić do natury, czyli do dziecinnego okresu ludzkości. Mickiewicz w jednym z najpiękniejszych wierszy opiewał „dzieciństwo sielskie, anielskie". Każdy z nas wewnętrznie podziela te wyobrażenia. Kto się nie wzrusza na widok własnych fotografii z lat dziecinnych. Kto się nie rozkoszuje pierwszymi słowami i myślami dziecka? Kto nie wierzy w odrodzenie świata przez młodzież?

Otóż nowsza literatura wnosi w tej sprawie pewne poprawki. Najbardziej wstrząsające karty „Niewidomego w gazie" Huxley'a — to sceny, gdy młodzieńczy bohater utworu wyrządza śmiertelną krzywdę najlepszemu przyjacielowi, i dopiero w wieku dojrzałym, po czterdziestce, odbywa się ewolucja moralna, która tego „niewidomego" czyni człowiekiem czystym. Lilion Hellman, amerykańska autorka dramatyczna, na przekór J. J. Rousseau ukazuje straszną w skutkach pseudologię dziecięcą.

Tak oto przywrócono człowiekowi wiarę w wartość wysiłku, w doskonalenie się, w moralną ewolucję. Jest bardzo piękna scena „Pasażera bez bagażu", gdy brat bohatera mówi do niego: „Twarz twoja, po tylu latach niewidzenia, nie zatraciła podobieństwa. Tylko jak gdyby przeszła przez nią burza; burza, która nie zaostrzyła twych rysów, lecz je złagodziła i uszlachetniła".

Nazwałem w innym artykule „Pasażera" — „sztuką głęboko moralną". Podtrzymuję tę opinię. Zagadnienie etyczne wydaje mi się pionem, osią krystalizacyjną utworu. Nie zgadzam się ze zdaniem Stefana Flukowskiego, który uważa „Pasażera" niemal za utwór „pirandelliczny", a sprawę osobowości uznaje za jego punkt centralny. Wydaje mi się, że osobowość jest dla Anouilha faktem niezaprzeczalnym. Tak samo niewzruszoną wartością są dla tego pisarza — Kryteria etyczne. Dla Adlera i jego kierunku psychologii indywidualnej (której wyznawcą był u nas w powieści „Życie trwa 4 dni" Stefan Otwinowski), dusza człowieka kształtuje się w latach wczesnego dzieciństwa. Sztuka Anouilha tej teorii zdaje się zaprzeczać. Na doskonalenie duszy nigdy nie jest zapóźno — powtarzajmy za Ewangelią. „Pasażer bez bagażu" mógłby się nazywać utworem o wysiłku doskonalącego się, odbywającego głęboką ewolucję moralną, człowieka.

Wojciech Natanson

*) „Pasażer bez bagażu" Anouilha grany jest w Starym Teatrze w Krakowie i podobno zamierzają go dać w Katowicach.

Teatr Ziemi Opolskiej

„Świerszcz za kominem" Dickensa należy do repertuaru, który równowagę swej wartości scenicznej uzależnia przede wszystkim od wysokiego poziomu gry aktorskiej. Szminka i próby „celowej deformacji" nie znajdują tu pola do popisu. We wszystkim musi być: „wnętrze", a — wnętrzem i sprawą zasadniczą: prawda przeżycia.

Sztuka Dickensa w realizacji Teatru Opolskiego nie ze wszystkim szczęśliwie dotarła do mety. Mimo widocznych wysiłków reżysera i zespołu, i wielu doskonale wygranych sytuacyj, tempo akcji słabło i spektakl niekiedy szedł „próżnią" konwencjonalnych dialogów. Najlepsze sceny finałowe, — o wyrównanym poziomie także początek aktu I i akt III. Z wykonawców — interesująca Nowiczówna (Mary Piribingl)

i L. Stepaniak, jako handlarz zabawek. Posiadłowski, w roli Kaleba Plemmera, jak również Radwan, jako John Piribingl, mimo poprawnej interpretacji tekstu, tym razem nie wnieśli wymaganej sumy wartości. Podobnie Kulikówna (May), zdolna i z dużą inwencją aktorka, zawiodła nieco nasze oczekiwania. Bez zarzutu natomiast — Maria Bakka, w roli ślepej Berty, — piękny, wyrazisty talent dramatyczny. Sugestywną grą zadecydowała właściwie o poziomie spektaklu, stworzyła nastrój i utrzymała go do końca. Na uznanie zasługują również stylowe i zwięzłe w wyrazie dekoracje M. Łańcuckiego.

Po kropce — krótka uwaga, pod adresem imprezy z dnia 11.IV.

Wznawianie przedstawień, zdjętych z afisza, również zobowiązuje do wysiłku — i wymaga poziomu, równego przynajmniej imprezom poprzednim.

W. Hlouszek

Niedopuszczalne metody krytyki teatralnej

Świąteczny numer organu Wojew. Komitetu PPR w Katowicach, „Trybuny Robotniczej", przyniósł niespotykaną dotychczas, jeśli chodzi zarówno o treść, jak i formę, krytykę działalności Teatru Miejskiego w Opolu, pozostającego pod kierunkiem dyr. Stanisława Staśki. Krytyka ta może być określona śmiało jako kołtuńska napaść. Ten charakter i ton nosi od tytułu do ostatniego wiersza Autorem jej jest bez wątpienia człowiek, który nigdy nie miał nic wspólnego z teatrem i sztuką, który nie posiada żadnych kryteriów oceny któremu zakuto łeb dokumentnie sloganami partyjnymi Tylko tymi sloganami potrafi on myśleć i mówić. A to niestety za mało kwalifikacji do zabierania głosu i to nie tylko w sprawach teatru, ale we wszystkich sprawach „demokracji i polskości".

Oto skrót i przesłanki wywodów obywatela „Stera": „Teatr Miejski w Opolu źle pracuje. Gonitwa za wszelką cenę za poklaskiem pewnego gatunku publiczności, rekrutującej się spośród malkontentów, zwolenników trzeciej wojny, dobieranie takiego repertuaru, który drażni uczucia patriotyczne a zaspakaja niskie i antynarodowe instynkty szabrowników, jest niczym innym, jak rodzajem moralnego szabru, spekulacji na nietykalnych świętościach narodowych"... „Demokracji więcej zaszkodził pan Staśko ze swoimi współpracownikami niż ów pęcak (??!), których próbuje się zastawić. A już jeśli protekcjonizm jest dla tych panów tak nieodzownym czynnikiem życia społecznego, kulturalnego i gospodarczego, to niech udadzą się pod ich opiekuńcze andersowskie skrzydła, ale niech nie spodziewają się podobnie błogiej przystani w demokratycznej Polsce. Autorytet demokracji wciąż rośnie w Europie i świecie. Niech ci panowie nie mierzą go swoimi pojęciami, bo istotnie mogą się znaleźć poza zdrowo myślącym społeczeństwem pomimo opieki swoich protektorów"... i tak dalej do końca.

Koniecznym było przytoczenie tych urywków, bo mógłby ktoś nie uwierzyć, mógłby pomyśleć, że atakując ob. Stera atakujemy zagrożoną przez Teatr w Opolu demokrację polską a nie zorganizowane kołtuństwo.

Zobaczmy teraz, co zaszkodziło „demokracji i polskości" — jak pisze ob. Ster — w Opolu, jakimi sztuczkami ośmielił się „dyrektor teatru i jego współpracownicy" prowadzić krecią, podstępną, reakcyjną robotę. Oto rejestr granych dotychczas w Opolu sztuk: „Matura", „Roxy"; „Gdzie diabeł nie może"; „Trafika pani generałowej", „Dar poranka", „Mała Kitty i wielka polityka", „Pan Damazy", „Moralność pani Dulskiej", „Grube ryby", „Świerszcz za kominem", „Damy i huzary", „Dziady"; „Kordian", „Balladyna". Rejest konieczny do przytoczenia, bo teatr oskarżono o szkodliwy i celowo „zbrodniczy" dobór repertuaru, o schlebianie najniższym, antynarodowym instynktom.

A rzecz cała idzie — kto chce niech nie wierzy — o.... „Plecy" Jurandota, błahostkę sceniczną, pozującą na satyrę współczeną, która dzięki rewjowemu ujęciu i kilku zupełnie nieobowiązującym dowcipom, z których niewiadomo dlaczego się ludzie śmieją, szła przez kilka miesięcy w Łodzi i przypadkiem znalazła się w Opolu gwoli ulżenia niezasobnej kasie teatru. Wybór był zresztą nieszczególny. Dowcip tej sztuczki jest niewyszukany, mało cięty, satyra mało trafna. Bo przecież ta cała „protekcja", na której rzecz jest zbudowana to fikcja, zupełna fikcja a ofiarą tej fikcji padają w „Plecach" właśnie obywatele typu ob. Stera, którzy popierają to wszystko, co według plotki nosi stempel oficjalnego poparcia.

Tak, tak, obywatelu Sterze, to z was usiłują się w tej sztuce śmiać, z waszej głupoty, z waszego serwilizmu i naiwności a nie z demokratycznej Polski. A z tego kupletu, w którym aktor śpiewa, że chciałby mieć medal, bo poczułby się choć raz jak Marszałek Żymierski, to właśnie sam Marszałek się śmiał na przedstawieniu w Łodzi a publiczność biła brawo... z sympatii. Bo my kochamy wojsko na prawdę, z tradycji, a nie na wasz rozkaz. Bo my w ogóle niczego na rozkaz kochać nie umiemy i nie będziemy.

No i jeszcze proszę zgadnąć, czym szczyci się obywatel Ster? Otóż tym, że „demokracja polska z rodzimymi protektorami reakcji i wstecznictwa da sobie radę sama. Dała tego przykład, obrzucając w Opolskim teatrze aktorów zgniłymi jajami i wygwizdując ich". Przede wszystkim nieścisłość w relacji. Zgniłych jaj nie było, bo nawet ze świeżymi jest teraz krucho. Były w robocie butelki z cuchnącym płynem na 13. z rzędu przedstawieniu „Pleców". Ciężko myślała ta „demokracja" obywatela Stera, skoro dopiero po dwóch tygodniach zorientowała się, że „Plecy" kryją w sobie miazmaty reakcji. A jeśli tak postępują przedstawiciele demokracji, to bardzo przepraszam, ale... to chyba pomyłka w nomenklaturze.

Zanim przedstawimy szerzej pracę i osiągnięcia opolskiego teatru, chcemy stwierdzić jedno: teatr ten jest jedną z najpracowitszych i najlepiej zorganizowanych placówek teatralnych na Śląsku. Pracuje z dużym wysiłkiem, pożytecznie i z dobrymi rezultatami, przynosząc rzetelny pożytek sprawie polskiej na terenie Opolszczyzny. Napaść omówiona powyżej stanowi krzywdę dla dyrekcji i dla aktorów, jest nieprzyzwoita i kołtuńska. Jesteśmy przekonani, że „Trybuna Robotnicza", która pragnie uchodzić za pismo poważne i ma po temu dane — teatrowi opolskiemu nie odmówi za ten niepoważny wybryk należnej satysfakcji. **(ki)**

Glossy i notatki

MÓWMY NORMALNIE

Takiego wielosłowia i takich chorób stylu i języka, jakie panują dziś, chyba nie było u nas jeszcze. Może, może czasy barokowe dorównały by sytuacji obecnej. Tylko, że w baroku zdecydowano się na jeden jakiś styl, a my dziś mówimy przesadnie dwoma sposobami: albo **prostacko,** co ma być prosto i jasno, albo w świętym patosie, co ma być uroczyście. Dalibóg a czasem te dwa sposoby genialny obywatel w myśl aktualnej zasady jedności — łączy i wtedy powstaje wiersz: —

Wiatry wyiwały obcy swęd,
rzeką spłynęło wrogie padło.
Tu oto jest historii skręt,
Za który wielu naszych padło.

(„Kurier Szczeciński" z dn. 12.IV.46 czołowy wiersz na I stronie). ——

Święty patos ma swoje specjalnie ulubione tematy, jako też styl prostacki ma swoje ulubione tematy. Styl prostacki głównie obraca się w polityce a święty patos na ziemiach odzyskanych. W artykułach i przemówieniach, odnoszących się do Nadodrza, nie brak nigdy: „tu leżą prochy", „święte dziedzictwo Piastów", „prastare ziemice", „wielowiekowa krzywda", „słowiańskie rubieże". W wyżej wzmiankowanym „Kurierze Szczecińskim" wyczytaliśmy też, że „macierzyste terytoria odzyskaliśmy po stracie, która trwała nieprzerwanie poprzez kilkadziesiąt pokoleń". To znaczy, że strata trwała (jak mogła tak trwała) od czasów przedchrystusowych. Obliczcie. Bowiem jedno pokolenie to mniejwięcej pół wieku.

Tu oto jest historii skręt. Mianowicie skręt kiszek.

(Zby)

KRÓTKIE SPIĘCIA

Marcowy numer „Twórczości" rozpada się wyraźnie na dwie części, w pierwszej mamy porcję nowinek z Zachodu, w drugiej teatralia, recenzje, omówienia i wspominki. Od jakiegoś czasu, ci nieliczni, którym udało się wystawić nos zagranicę, wymieniają nam nazwiska nowych autorów, szermują tytułami, tak jakby cała ta obca produkcja zagraniczna, była nam znana i dostępna. Z wypowiedzi tych wynikałoby, że ci Francuzi, których tak wychwalano, stawiano za wzór, stworzyli rzeczy niebywałe, godne jedynie podziwu i naśladowania.

Jesteśmy niezmiernie wdzięczni Wyce, że dał nam tłumaczenie dobrej, ale tylko dobrej prozy Aragona (obok krótkie studium o nim — Jarczyńskiej) oraz syntetyczny wybór współczesnej poezji francuskiej. Dzięki temu rozwiewają się nasze niepokoje. Chwała Bogu nie pozostajemy w tyle.

Czekamy jeszcze na tłumaczenie J. P. Sartre, którego „Le mur" jest wstrząsającą w chłodnym realizmie obserwacją psychoz i fizjologicznych reakcji, oczekujących na rozstrzelanie trzech więźniów.

W sprawach teatru, zabierają głos — Wyka, Wielowieyska, Żuławski, Kwiatkowski, Kydryński, Sztaudynger i Natanson.

Numer ciekawie i żywo skomponowany.

Ostatnio żywe zainteresowanie budzą sztuki plastyczne, a zwłaszcza ich popularyzacja, która na skutek zupełnego braku przygotowania do odbierania przeżyć estetycznych, u przeciętnego spacerowicza po wystawach, napotyka na szczególne trudności. W „Odrodzeniu" i „Twórczości" przystępnie naświetla wystawy i współczesne malarstwo H. Blumówna.

W nr 2. Problemów — J. Wolf podprowadza w prostym, ale jakże potrzebnym artykule do należytego, poprawnego widzenia dzieł sztuki.

Plastycy są ogromnie faworyzowani i wszelkie ich poczynania cieszą się zrozumiałym poparciem. Na przykład w Katowicach, gdzie Związek liczy 150 członków, nie znaleziono dla nich sali na urządzenie wystawy. Uparci malarze wypatrzyli ją dopiero w Bielsku, gdzie sami musieli ściany odnawiać. Rozumiem, że w Województwie Śląskim sprawy węgla są pierwsze, ale gdyby tak graficy użytkowi, z równym zapałem ustosunkowali się do projektowania afiszy wyborczych, w myśl przysłowia — jak Kuba Bogu, tak... — wtedy by napewno znalazło się poparcie.

W niepozornej, skromniutkiej szacie ukazał się drugi numer Życia Słowiańskiego, pisma poświęconego, jak sam tytuł wskazuje, właśnie zbliżeniu Słowian Projekty tej wspólnoty kulturalnej od wymiany periodyków, przez tłumaczenia, korespondencję, do zjazdów i krajoznawczych wycieczek, podsuwa T. S. Grabowski. ——

„Życie Słowiańskie" — przynosi nam krótki życiorys wodza Jugosłowian Józefa Broz Tito. Oczywiście jest on trochę wyretuszowany, bo skreślony piórem wielbiciela, ale nie mniej uderza konsekwencją w planowaniu, trafnością sądów, umiejętnością współżycia nawet z opozycją, która u byłego robotnika metalowca, dzierżącego dziś ster państwa, musi zastanowić i wzbudzić podziw.

Szkoda, że „Życie Słowiańskie" jest tak konspiracyjnie kolportowane. Dla ciekawych podaję adres redakcji. Kraków, Basztowa 15.

Czym jest „Kamena" Jaworskiego, to najlepiej wiedzą poeci, zwłaszcza ci początkujący, dla których często są zamknięte łamy tygodników, bo redaktorzy dobierają sobie wiersze młodych, harmonizujące z typową florą swego ogródka. Jaworski jest od lat cierpliwym ogrodnikiem i bezstronnym hodowcą. Drukowanie w Kamenie to jakby ostrogi poetyckie dla debiutanta. Wielu uwieńczonych dzisiaj zamieszczało i zamieszcza tam swoje utwory.

„Kamena" ma skromny dział przekładów, ale dający już pewien pogląd na to co się u sąsiadów dzieje. Poza tym systematycznie prowadzi Jaworski dział recenzyj poetyckich, omawia rzetelnie każdy tomik. Na to nawet nie stać „Odrodzenie" i „Kuźnicę".

„Kamena" jest warta przeczytania i poparcia, znowu dla amatorów dobrych wierszy, dla poetów debiutantów spragnionych ujrzenia swego nazwiska w druku, podaję adres: Lublin, Curie-Skłodowskiej 2.

Marynarz Polski, popularne pismo oswajające nas z tą niezwykłą przemianą w państwo morskie, zawiera ciekawe reportaże o szturmowaniu wybrzeża, zdobywaniu Kołobrzegu i przypomina wyprawy konwojowe ORP Garlanda. Dla tych, którzy spędzili wojnę pod okupacją niemiecką Garland musi przypomnieć głębokie wzruszenie z jakim czytaliśmy w tajnej Rzeczypospolitej skreślony, z łapiącym za gardło, wisielczym humorem, opis walk tego kontrtorpedowca. Otóż właśnie ten reportaż, przytacza w formie niezmienionej ostatni „Wiatr od Morza". Niestety, nie nadaje się to do streszczenia, utraciłoby cały jędrny smak bezpośredniego opowiadania Pawła Grudki. Ale jeżeli macie trochę zaufania do mnie, przeczytajcie, nie będziecie żałować. Dla tej jednej, burzącej krew gawędy, warto pismo kupić. Nie mówiąc już o reszcie.

W ostatniej Kuźnicy zabiera głos Matuszewski w bałamutnym artykule o volkslistach. Artykuł ten osobno omówimy. —

Reszty pism nie zdążyłem przed łamaniem numeru przeczytać, więc Drodzy Czytelnicy, sami szukajcie sobie rodzynek w prasie tygodniowej. **Aga.**

Co robią Niemcy

Wielkanoc minęła w Niemczech w nastroju pogodnym i pełnym optymizmu. Przyczyniły się do tego obfite przydziały w strefie angielskiej i amerykańskiej a nawet i w strefie francuskiej, tak głodnej zazwyczaj, udało się Niemcom wykupić przed świętami wszystkie przydziały przewidziane kartkami. Krótko **przed świętami** wróciły do Niemiec z niewoli większe transporty lotników i marynarzy niemieckich, nawet Rosja zwolniła większy transport chorych jeńców, którzy prócz swego życia przynieśli do kraju wieści od kolegów. Tej ogólnej radości Niemców nie zdołały zaciemnić nawet wiadomości o powtarzających się coraz częściej zamachach na żołnierzy i oficerów alianckich, które być może spotkają się z surowymi represjami. Piszemy „być może", bo tak myślą Niemcy; w gruncie rzeczy, bowiem represje będą ale nie natychmiastowe i nie totalne, do jakich przyzwyczajeni byliśmy w Polsce. Radio berlińskie, komentując tę nową falę zamachów, próbuje niektóre uznać za nieszczęśliwe wypadki po prostu, resztę zaś za „nieświadome i błędne poczynania niektórych nieodpowiedzialnych aspołecznych Niemców" (dosłownie!). Obłęd niemiecki trwa, żadne wychowanie nie pomaga. Nie jest ważne to, że giną ludzie, żołnierze i oficerowie armii, które aczkolwiek pokonały Niemców ale żywią ich teraz i pomagają odbudować zniszczenia, — ale ważne jest, że może się to odbić źle na przyszłości niemieckich planów o jednym państwie i jednym narodzie. Oczywiście niemieckim.

Ein Volk, ein Reich, ein Kommissar! — oto hasło zdobywające Niemcy. Zadziwiające,, że głosi się je bez żenady, aczkolwiek nie jest hasłem oryginalnym i jest tylko nieznaczną korekturą tak długo głoszonego sloganu hitlerowskiego. Wypisuje się je znowuż na domach. W ogóle przechadzka ulicami miast niemieckich dla tego, który tu był w okresie hitlerowskim, ma posmak niecodziennej sensacji. Sensacji politycznej. Ostatecznie największy tuman orientuje się, że zaszły jakieś gruntowne zmiany w układzie politycznym i ideowo-politycznym środkowej Europy, a tymczasem tu, na ulicach Magdeburga, Kassel, Oldenburga czy Eisenachu wszystko jest takie samo jak wczoraj. Cóż z tego, że ruiny, że obce mundury na mieście, że Żydzi od dawna tu niewidziani, że Heine na wystawie i że malowana na frontonie angielskiego kasyna żołnierskiego karykatura Hitlera z angielskim spokojnym tekstem, — skoro z drugiej strony te same pieśni śpiewa idąca, maszerująca młodzież niemiecka, te same hasła nalepione wokoło (nawet w Eisenachu „Raeder muessen rollen fuer den... Aufbau"), mieszczki z turbanowymi zawojami na głowie, pozdrawiające się dyskretnym „Heil Hitler", prawie jawnie kolportowana tajna prasa. W Oldenburgu zdarzył się taki wypadek: żołnierzowi alianckiemu, kupującemu coś w sklepie niemieckim, przypiął jakiś wyrostek do pleców kartkę z napisem: „Ich bin ein englisches Schwein, Deutschland! mache mich rein!" („Jestem angielską świnią, Niemcy! uczyńcie mnie czystym"). Żołnierz przeszedł długie dwie ulice, ustępujący mu z drogi, Niemcy oglądali się i śmiali do rozpuku. Dopiero po kilkuset metrach podszedł doń staruszek i zwrócił uwagę na zawieszoną kartkę. Prasa niemiecka zanotowała nazwisko tego staruszka jak coś oryginalnego i niespotykanego, stawiając go za wzór młodzieży, Paul Weizein.

Tymczasem Anglicy piszą: „Przemysł niemiecki musi szybko zostać postawiony na poziomie dostatecznie wysokim dla dostarczenia niezbędnych nadwyżek eksportowych na rynki światowe. Inaczej załamie się nie tylko gospodarka własna Niemiec, lecz i cały system kontrolny — okazać się może nie do zrealizowania" (London Press Service, obsługa prasowa rozgłośni londyńskiej). Niemcy w tej chwili własną produkcją i własną pracą nie tylko nie mogą zapłacić za aliancką kontrolę i za aliancką okupację, lecz również za import, który zwiększa się z dnia na dzień. Potęguje się deficyt handlowy ażeby zrównoważyć bilans handlowy, trzeba podnieść poziom przemysłu niemieckiego. Tak wygląda ślepa uliczka polityków europejskich w stosunku do Niemiec. Na końcu tej uliczki wyrasta koszmar Niemiec sytych, bogatych, handlujących z wszystkimi częściami świata i zdolnych znowu do podbojów militarnych. Widzą ten koszmar, choć na razie jeszcze niezbyt jasno, komentatorzy angielscy. Mówią bowiem: „Aby ustalić ten poziom dostatecznie wysoko, nie tak wysoko jednak, by podnieść niemiecki standard życiowy powyżej „linii poczdamskiej" lub odrodzić niemiecki potencjał militarny i zdolność do prowadzenia wojny — oto problem, na który odpowiedź tworzy się w Berlinie". Linja podziału między poziomem a poziomem jest bardzo krucha, a na wielu odcinkach życia gospodarczego zaciera się zupełnie. W tej kruchości tkwi właściwe niebezpieczeństwo.

Poza tym jednak Anglicy potrafią pisać i tak: „Niebezpieczny jest stopień, w jakim Niemcy powoływani są na naszą służbę. Żaden Niemiec oczywiście nie jest zatrudniony w tajnych działach, lecz i w takim charakterze, w jakim są zatrudnieni, mają oni okazję zbierania informacyj, nadzwyczaj ważnych dla konspiracji i sabotażu..." (James MacDowall w „Sunday Times" z dn. 19- III. 46). Istotnie, jeśli w takiej np. Kolonji 4 tysiące Niemców zatrudnionych jest przy władzy okupacyjnej, przy czym jedna trzecia tej liczby to pracownicy biurowi, — to niebezpieczeństwo sabotażu i nasycania konspiracji wiadomościami jest ogromne. Inaczej jest trochę pod tym względem w rosyjskiej strefie okupacyjnej, bo Rosjanie na ogół Niemcom nie ufają jak w ogóle nie ufają nikomu. Tutaj nawet przywódcy partii komunistycznej, choć mają nieograniczone na ogół prawa w administracji wewnętrznej niemieckiej, trzymani są z dala od pewnych obiektów, nie mówiąc już o tym, że w żaden sposób nie umożliwia im się zgłębienia tajemnic wojskowych czy pewnych kluczy administracji okupacyjnej.

We francuskiej części okupacyjnej, jak donosi „Badische Zeitung" nr. 13, **brak jest sił do pracy.** Urzędujące po staremu i według metod hitlerowskich Arbeitsamty wykazują 1.400 wolnych posad w Badenii. Bezrobotnych jest zaledwie 4.000, ale większość to są inwalidzi lub chorzy, którzy wrócili co dopiero z niewoli i którym, jak podaje pismo, należy się najpierw dłuższy odpoczynek. Szczególnie ciężka sytuacja jest w rolnictwie. Pismo ubolewa zupełnie otwarcie, że przez ubytek „licznych tysięcy jeńców wojennych i zagranicznych sił roboczych powstały luki, których nie da się zapełnić". Ta tęsknota za niewolnikami z zagranicy, pracującymi potulnie dla niemieckich gęb, nie jest odosobniona i „Badische Zeitung" przyłącza się w tym do licznych innych głosów prasy. — We wszystkich strefach **rozpoczęła działalność „Kaiser — Wilhelm — Gesellschaft".** Niemcy wiążą z tym wielkie nadzieje. Spodziewają się, że osiągnięcia naukowe zyskają im nie tylko przyjaciół ale i pieniądze. Towarzystwo zajmować się będzie tylko badaniami na polu biofizyki. — **Konserwator północnej prowincji Nadrenii hr. Wolff Metternich** został zatwierdzony na swym stanowisku, pomimo że był członkiem partii. Powodem zatwierdzenia jest nota dyrektora francuskich Sztuk Pięknych Jaujarda, że Metternich jako kierownik komisji dla ochrony dzieł sztuki i pomników w Paryżu przeciwdziałał wywózce francuskich **dzieł sztuki do Niemiec.** — **Na uniwersytecie w Tubyndze** zapisało się na letni semester 1946 przeszło 6 tysięcy studentów. Wśród słuchaczy bieżącego semestru znajduje się 3.000 Niemców i 1.000 obcokrajowców — Z komunistycznego pisma, wychodzącego w Norymberdze p. t. „Der neue Weg" (nr. 7) na zakończenie taka oto wiadomość: „...W brytyjskiej strefie, a szczególnie w Zagłębiu Ruhry panuje niezadowolenie z powodu **ciągłego jeszcze zatrudniania hitlerowców na kierowniczych stanowiskach,** którzy szykanują nawet wszystkich wracających z więzień i obozów". **(wisz).**

Zycie muzyczne Katowic

Obserwując pracę Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, z przyjemnością stwierdzamy, że staje się ona z każdym tygodniem zespołem coraz to poważniejszym. Ustabilizowane, stosunkowo dobre warunki pracy i płacy, starannie dobrani instrumentaliści, przeważnie o wysokiej klasie wykonawczej umożliwiają kierownictwu już dzisiaj sięganie do wielkiego repertuaru symfonicznego. Dowodem tego był niedzielny (7. IV.) poranek symfoniczny, w programie którego usłyszeliśmy między innym V symfonię Czajkowskiego, stanowiącą wszakże już problem poważny i muzycznie i technicznie. Słuchając z partyturą w ręku, można by oczywiście nie jedno dostrzec, ogólne jednak wrażenie określiłbym jako zdecydowanie dobre. Uzupełnieniem programu poranku była bardzo dobrze zagrana uwertura do „Hrabiny" i godny uwagi, dla wirtuozostwa technicznego i poważnej muzykalności występ puzonisty tej orkiestry R. Przybyły, który z towarzyszeniem oriestry odegrał trudny koncert na puzon Friedebalda Graete. Dyrygował **Witold Kałka-Rowicki.**

Tej samej niedzieli w programie popołudniowego koncertu filharmonicznego, poświęconego twórczości kompozytorów słowiańskich usłyszeliśmy serenadę na orkiestrę smyczkową Józefa Suka, koncert fortepianowy b-moll Czajkowskiego w wykonaniu Nadzieji Podlewskiej, Scherzo z symfonii op. 21. Z. Stojowskiego i w istrumentacji Głazunowa Tarantellę Szopena. Dyrygował Zbigniew Dymek.

Na marginesie tego koncertu chcielibyśmy zwrócić uwagę na zagadnienie następujące: Katowice w chwili obecnej posiadają trzy orkiestry symfoniczne: tak zwaną „Państwową" Filharmonię pod dyr. J. Niwińskiego, Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia i Orkiestrę Opery katowickiej. Różnorodność warunków pracy i płacy oraz stosunków wewnętrznych wpływa na to, że muzycy-instrumentaliści zmieniają niejednokrotnie miejsce zatrudnienia. W ostatnim okresie szczególnie dał się zauważyć odpływ muzyków z Filharmonii. Odbiło się to oczywiście niekorzystnie na linii pracy artystycznej tego zespołu. Zdekompletowane drzewo, zmieniona obsada w blasze, a nade wszystko częste zmiany w smyczkach (niestety nie na lepsze) nie pozwalają na pracę planowaną na dłuższą metę, a w doraźnych opracowaniach koncertów z tygodnia na tydzień jasnym jest, że nie można wydobyć tego, co się osiąga przez systematyczną pracę długich miesięcy. W warunkach tych trudno jest o obiektywną ocenę, a każde poprawne, czy dobre wykonanie uważać należy za sukces osobisty dyrygenta.

Ogólne wrażenie z popołudniowego koncertu niedzielnego pod dyr. **Zb. Dymka,** określiłbym mimo wszystko jako dobre.

Nadzieja Podlewska, znana i ceniona pianistka, z wielką kulturą, lecz jednocześnie jakby z pewnym niezdecydowaniem wykonała koncert fortepianowy b-moll, Czajkowskiego. Zagrany na bis, walc Szopena przedstawił w bardzo korzystnym świetle i technikę i szlachetną muzykalność artystki.

12-ty piątkowy koncert filharmoniczny przyniósł, jako nie częstą w programach naszych nowość, pierwsze wykonanie II-go koncertu fortepianowego Ludomira Różyckiego. Pionierskiego, zaszczytnego zresztą trudu prawykonania podjął się znakomity pianista z Warszawy, Józef Smidowicz, wespół z orkiestrą filharmoniczną pod dyrekcją Witolda Krzemińskiego.

Napisany w czasie wojny II-gi koncert fortepianowy Różyckiego jest z punktu widzenia formy kompozycją dwuczęściową, potraktowaną z pełną swobodą formalną, nic nie mający wspólnego z formą sonatową, ani nawet z dawną cykliczną (dwie części, jak na cykl, to nieco za mało), zasługiwałby raczej na nazwę fantazji, czy poematu symfonicznego z koncertującym fortepianem, Część I, określona jako Andante con variazioni, poważna, o rysach patetycznych, silnie kontrastuje z częścią II, Finale giocoso, pełną radości życia, która jest właściwie pełnym polskości krakowiakiem. Niezbyt wirtuozowski w partii fortepianowej, lecz o fakturze wybitnie pianistycznej, harmonicznie ciekawy, barwny, w świetnej, pewną ręką mistrza instrumentowanej oprawie, wzbudził w premierowej publiczności wielkie zainteresowanie, wywołując jednak dyskusje w związku z pewnymi, dającymi się zauważyć reminiscencjami z własnej, wcześniejszej twórczości kompozytora.

Józef Smidowicz z wielką sumiennością i starannością przygotował partię fortepianową koncertu. Wykonanie wysoce artystyczne, szczególnie w części pierwszej koncertu wydobyto wszystkie walory kompozycji.

Partię orkiestralną, mającą w koncercie wiele do powiedzenia poprowadził z wielką pewnością, przy właściwym ustosunkowaniu w tempach i dynamice do koncertującego fortepianu, młody, bezsprzecznie utalentowany kapelmistrz Witold Krzemiński, budząc jedynie zastrzeżenia przesadnymi na efekt obliczonymi ruchami.

Poza koncertem i dobrze zagranym wstępem do op. „Chowańszczyzna" M. Musorgskiego, orkiestra filharmoniczna wykonała Serenadę Karłowicza i „Kaprys włoski" Czajkowskiego. Wykonanie nie z winy dyrygenta, lecz raczej z powodów, o których wspomniałem przy koncercie pod dyr. Zb. Dymka, nie stało na poziomie jakiego oczekiwaliśmy.

Natomiast recital skrzypcowy znakomitej wiolinistki polskiej **Ireny Dubiskiej** (13. IV.) wywarł jak najkorzystniejsze wrażenie. Był on jedną z najlepszych imprez artystycznych w sezonie.

Artyzm właśnie, kultura i finezja słyszalne w każdej frazie i każdym zdaniu szlachetnej gry Dubiskiej były czynnikami nieczęstej, najwyższej przyjemności estetycznej. Mimo niewątpliwie wysokiej klasy wirtuozerii, technika w grze artystki nie jest tym, co pochłania uwagę słuchacza, jest ona tylko środkiem do celu, a celem tym jest piękno. Ona to właśnie nie pozwoli nam długo zapomnieć o koncercie Ireny Dubiskiej. Akompaniował z niezawodną pewnością wielce muzykalnie Sergiusz Nadgryzowski.

W niedzielę, 14 kwietnia odbył się w sali Filharmonii koncert muzyki religijnej w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia i solistów. Program zawierał sześć fragmentów z oratorium Haendla pt. „Mesjasz", Concerto grosso nr. 5, D-dur, tegoż kompozytora, Elegią Władysława Żeleńskiego i dwa fragmenty z mszy Włodzimierza Ormickiego. Zrozumiałe zainteresowanie obudziły nowe kompozycje polskiego kompozytora. Na podstawie tych dwóch, stosunkowo niewielkich fragmentów można jednak o niewątpliwym talencie kompozytorskim Włodzimierza Ormickiego powiedzieć wiele pochlebnych słów.

Zarówno instrumentalne Offertorium, jak i Et incarnatus est, na sopran, alt i orkiestrę to muzyka religijna o wielkiej żarliwości i bardzo szlachetnej niepospolitej inwencji i szerokiej długooddechowej frazie melodyjnej. Poważna bez silenia się na nowatorstwo harmonika i odpowiednia do charakteru kompozycji instrumentacja złożyły się na wrażenie pełne podniosłości i powagi.

Jako soliści niedzielnego koncertu wystąpili: Pola Bukietyńska, obdarzona pięknym, dobrze postawionym, dźwięcznym sopranem i bardzo dobrą dykcją, Emma Ormicka, kulturalna śpiewaczka lecz o mało nośnym mezzosopranie i Władysław Porębski, operujący dobrym, lecz jeszcze dość surowo brzmiącym głosem (bas-baryton).

Orkiestrą dobrze zestrojoną, zrównoważoną dźwiękowo i bezwzględnie czystą w brzmieniu dyrygował z jak najlepszymi wynikami Włodzimierz Ormicki.

Frekwencja na wszystkich omówionych tu koncertach niestety — mała.

M. Józef Michałowski.

Niemieckie konie trojańskie

Patrzymy na ekran

Sprawdziły się nasze obawy w związku z poziomem filmów wyświetlanych w okresie świątecznym i poświątecznym. Jedyny bardziej wartościowy obraz „Gunga Din" (kino „Słońce") bynajmniej nie ratuje sytuacji, bo był on dobry i przed wojną a więc nie ma powodu, by teraz był gorszy. Co prawda w tak niedobranym towarzystwie, nie tylko nie będzie mógł „Gunga Din" poprawić opinii „Melodii Broadvay'u", czy „W Szponach Monte Carlo", — ale biedaczysko — swoją własną opinię na szwank narazi. I to mocno.

Więc po kolei. „Melodie Broadway'u" (kino Casino) nie mają nic wspólnego z tym przyjemnym filmem amerykańskim, którego piosenki gwizdaliśmy w roku 1938, co nam znakomicie pomagało niedostrzegać zbliżającej się wojny. Natomiast film podstawiony na jego miejsce nazywa się „Królem Broadway'u", którego jak najszybciej powinno się zdekapitować wygodnym, bezszmerowym systemem niejakiego mr. Guillotin. Bo zaiste — straszliwa to szmira.

Przy okazji poskarżyć się muszę na to, że nie wiem dlaczego w kinie „Casino" wyświetlają, jako dodatek, pseudoholenderską bujdę taneczną, którą widzę już **po raz trzeci** w ciągu miesiąca, za każdym razem na nnym ekranie. Bujda zakonspirowała swój tytuł i chodzi za nieszczęśliwym widzem od kina do kina i za każdym razem z góry wiem, że **ten sam** chleb się przypali w rurze do pieczenia i w tym samym miejscu zatańczą angielskie girlasy w jakoby holenderskich sabotach. Po prostu — sabotaż!

Film: „W szponach Monte Carlo" (kino Union), jest zwykłym nieporozumieniem. Prawdopodobnie dyrekcji kinoteatru chodziło o to, by uczcić 50. rocznicę powstania filmu i w tym celu wygrzebano z trudem autentyczny film sprzed kilkudziesięciu lat, by go zaprezentować łaknącym sensacyj katowiczanom. Nieporozumienie zaś polega na tym, że widzów się nie uprzedza o niespodziance, skutkiem czego wszyscy na widowni myślą, że film jest współczesny. Efekt jest nadzwyczajny, choć niezamierzony. W najgroźniejszych bowiem momentach tego szacownego pradziadka dramatów filmowych — publiczność płacze ze śmiechu. Trzeba bowiem zobaczyć te przedpotopowe samochody o architekturalnej karoserii i charakterystycznych, cienkich kołach, modnych w epoce, gdy Henry Ford był jeszcze zwyczajnym, benzynowym oseskiem. Trzeba zobaczyć te heroiny w długich do kostek sukniach, opływających ich „wężowe" figury, albo krawaty panów. Albo tiurniury pań. Albo nieprawdopodobne kepi mundurowe policjanta, ucharakteryzowanego na nieodżałowanej pamięci Rudolfa Valentine'a, z przyprawionym, chaplinowskim wąsem. Jednym słowem bardzo interesujący film. Szkoda tylko, że niedozwolony dla młodzieży. Powinien być polecony, co mówię, nakazany, jako dokument epoki.

Aleksander Baumgardten

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p..), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Katowice, 3. Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawnicza „Czytelnik" — R 1742